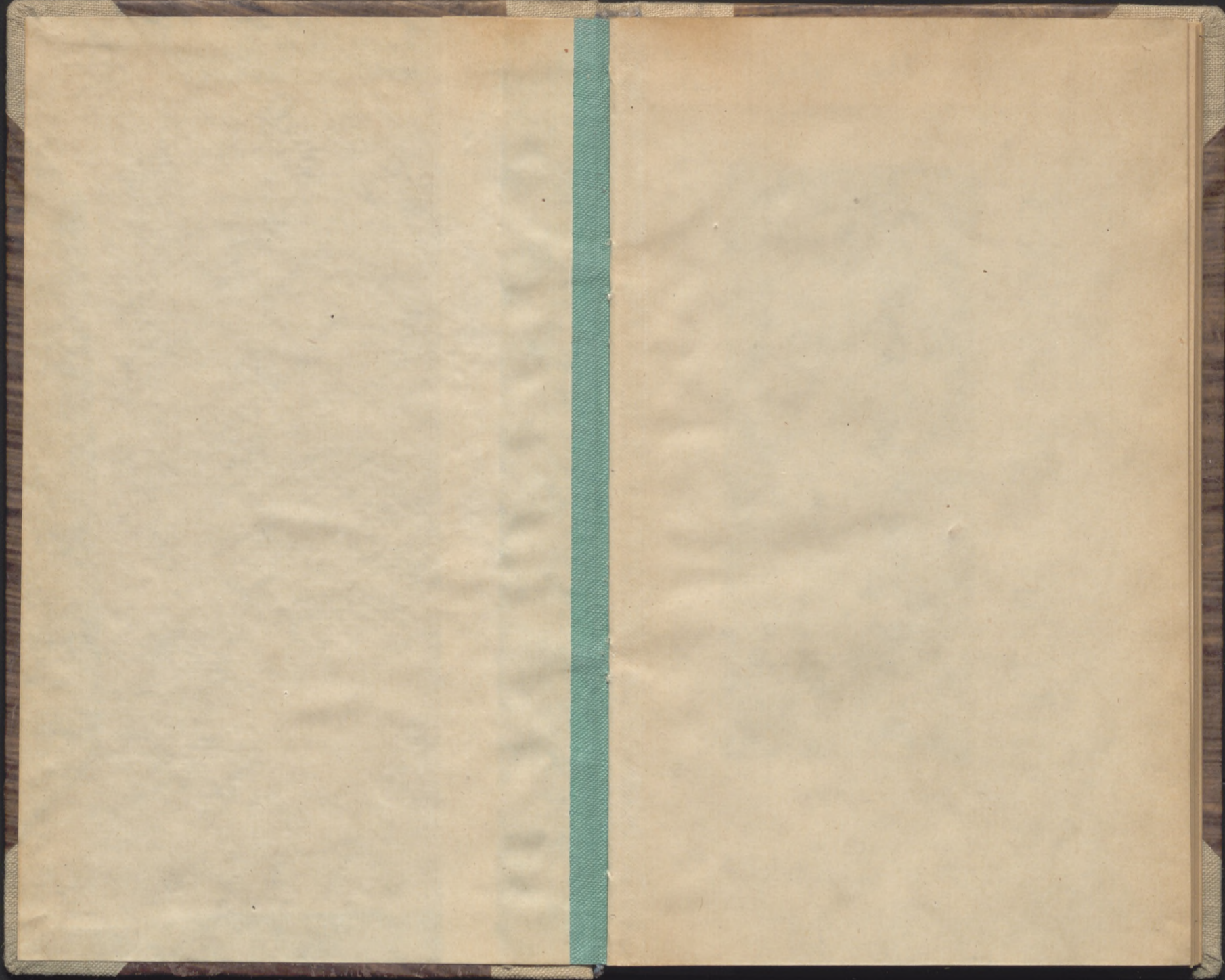


Biblioteka
UMK
Toruń

366340

22



Biblioteka
UMK
Toruń

366340

C.900
25

Jarosław Vrchlický.



LEGENDA O ŚW. PROKOPIE.

WE LWOWIE.
1900.

Główny skład w księgarni
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA
we Lwowie.

Legenda l. 100.

Jarosław Vrchlický.

LEGENDA O ŚW. PROKOPIE.

PRZEŁOŻYŁ I OBJAŚNIŁ

DR. FR. KRČEK.



WE LWOWIE.

NAKŁADEM REDAKCYI „PRZYJACIELA MŁODZIEŻY“.
Czcionkami Drukarni Ludowej.
1900.

Główny skład w księgarni
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA
we Lwowie.

Wydawnictwo w Lwowie
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA
Lwów, L. ew

014 411 4

At inu 4/11

ODBITKA Z „PRZYJACIELA MŁODZIEŻY.“



366340

K. 272/66

WSTĘP.

Podręczniki do nauki o poezyi, czyli t. zw. poetyki, podają często rozmaite określenia dwu gatunków utworów, należących do poezyi epickiej (opowieściowej), mianowicie bałady i romanasy, przezwaney niewłaściwie romansem. Natomiast zgoda zupełna panuje tak między poetykami wzajem, jakoteż między niemi a istotnym stanem rzeczy, co do gatunku trzeciego: legendy. Wyras przyjęty z łaciny, oznaczał w wiekach średnich (po uzupełnieniu domyślnego rzeczownika portio) ustęp z księgi, która zawierała dzieje życia i czynów osób świętych, rozłożone w porządku pewnym na rok cały, i to ustęp, który należało czytać w dniu pewnym w kościele, względnie na zebraniach nabożnych. Głośne dzieło Jakóba de Voragine „Legenda złota“ (Legenda aurea, z XIII w.) było też rzeczywiście tylko zbiorem takich ustępów, t. j. życiorysów świętych Kościoła katolickiego, a zarazem wzorem i na długie lata źródłem legend, pomyślanych jako utwór poetyczny, chociaż dzieło to było pisane po łacinie prozą.

Poetyka dzisiejsza nie odbiegła daleko od pojęcia legendy średniowiecznej, bo oznacza tą nazwą opowiadania poetyczne, czerpiące treść swą z dziedziny pojęć religijnych i dziejów Kościoła, a owiane w mniejszym lub większym stopniu urokiem cudowności i nadzwyczajności. Jedyne rozszerzono widnokrąg średniowieczny, skoro mamy dziś obok legend chrześcijańskich legendy biblijne, talmudystyczne, mahometańskie, hinduskie (czyli indyjskie), — wogóle wszelkich religii i wyznań, byle pojęcia religijne stanowiły podkład utworu, roszczonego sobie prawo do nazwy legendy. Rozumie się samo przez się, że nam, wychowanym w zasadach cywilizacji europejskiej, wyraz „legenda“ nasuwa na myśl opowieści i podania z życia Chrystusa, Matki Boskiej, apostołów, świętych, z dziejów Kościoła itp. Ponieważ zaś powieści te odznaczały się pierwotnie prostotą wyrażeń i naiwnością opowiadania, co stało się z czasem w pojęciu naszym nieodłączną cechą tego gatunku poezji, przeto wymagamy dziś od legendy doskonalszej nietylko wątku religijnego, ale też formy, prostej pod każdym względem.

„Legenda o św. Prokopie“, którą zamierzam podać w przekładzie wiernym, nie wykracza poza granice pojęcia legendy w średniowieczu. Kronika, spisana przez pewnego mnicha klasztoru sazawskiego w Czechach, opowiada, że Prokop, jeden z patronów narodu

czeskiego, urodził się we wsi Chotuni (na wschód od Czeskiego Brodu) ku schyłkowi X. wieku, a więc za panowania króla czeskiego, Bolesława II. Przyjąwszy regułę św. Benedykta, udał się około roku 1009. na puszcę i u skrzyżtu rzeki Sazawy pod Kourzymiem wybudował sobie pustelnię nad jaskinią, w której przedtem — jak kronika powiada — tysiąc dyabłów mieszkało. Po wielu latach samotności spotkał się przypadkiem z księciem Oldrzychem, który zapędził się był za jeleciem aż do owej pustelni, a poznawszy święty żywot Prokopa, wszędzie głosił odtąd jego sławę. To ściągało setki ludzi do pustelni i skłoniło ostatecznie Prokopa do założenia klasztoru nad Sazawą, którego opatem został mimo swej woli w r. 1039. Rozmówiony w języku cerkiewno-słowiańskim, który niegdyś pierwsi apostołowie chrześcijaństwa, św. Cyryl i Metody, przynieśli z obrządkiem greckim do Pannonii i Morawy, starał się pierwszy opat sazawski utrzymać tradycję tych apostołów w tym zakątku Czech. Umierając (w r. 1053) przekazał ją następcom swoim, choć przewidywał prześladowania ze strony biskupów niemieckich.

Osoba cnotliwego Prokopa stała się wkrótce ośrodkiem opowiadań, które zaczęły kupić się około niej, jak kryształ. Poczęto wcześniej spisywać te podania i łączyć w większą całość — legendę. Najdłuższa zachowała

się w starym rękopisie czeskim, który zowią hradeckim. Na tym rękopisie oparł też utwór swój autor, z którym chcę zapoznać czytelników polskich, a nadto czerpał z innych źródeł, nigdzie zresztą nie idąc niewolniczo za nimi. Forma, nierymowany wiersz trochaiczny ośmioletkowy, odpowiada również formie dawnych legend czeskich i wogóle poezji ludowej ludów słowiańskich, w której ośmioletkowy jest miarą wiersza najulubieńszą. Że poeta umiał znakomicie uchwycić ducha i nastroj legendy średniowiecznej, o tem przekonana — mam nadzieję — przekład sam, mimo że nie zawsze może wypadł tak dobrze, jak tłumacz pragnął.

Dołączam parę szczegółów o osobie samego poety, bo zapewne niejedynemu czytelnikowi, zaintrygowanemu utworem, zechce poznać bliżej autora. *Jaroslav Vrchlický* (czytaj: Wrch-lic-ki, między *W* a *r* krótkie, ledwie dosłyszalne *y*) jestto imię i nazwisko zmyślone (pseudonim) dra Emila Fridy, obecnie profesora literatury powszechnej na wszechnicy czeskiej w Pradze. Urodzony 16. lutego 1853 r. w Lounach (Czechy), ukończył gimnazjum w r. 1872, a w 3 lata potem wydział filozoficzny w Pradze i poświęcił się zrazu zawodowi nauczycielskiemu. Wkrótce jednak został sekretarzem politechniki w stolicy nadwęgrowskiej. Urząd ten nie zabierał mu wiele czasu, to też mógł się oddawać z zamiłowaniem czytaniu arcydzieł piśmienictwa

wszech ludów i czasów, które mu ułatwiała znajomość wielu języków, nietylko europejskich, i tworzeniu samodzielniemu. Od roku też 1869., w którym wystąpił po raz pierwszy na widowie publiczną jako poeta, począł coraz szybciej sypać, jak z rogu obfitości, tomik za tomikiem, a nie poprzestał na liryce, owszem stworzył szereg poematów epickich — największy wydany przed rokiem p. n. „Bar-Kochba“ — i kilkadziesiąt dramatów, komedyi i tragedyi, że pominię jego dzieła prozaiczne. Tomów jego poezji oryginalnych jest dziś już przeszło 100, a poeta nie złożył jeszcze pióra, owszem co roku dorzuca parę tomów nowych. Przytem zapoznaje publiczność czeską z arcydziełami narodów innych, począwszy od Dantego, Aryosta i Tassa aż do Göthego, Carducciego, Poego i Mickiewicza, którego „Dziady“ wydał w niezrównanym przekładzie w r. 1895. Pewien krytyk czeski określił wybornie wszechstronność Vrchlickiego słowy następującymi: „Wąskie aleje liryki i epiki nie wystarczają mu, śpieszy więc dalej ku kaskadom dramatu, przesadza do niepokazanych przedtem ogrodów poezji czeskiej wspaniałe kwiaty umysłowości włoskiej, francuskiej, hiszpańskiej, amerykańskiej, niemieckiej, polskiej, nadto sam ozdabia ogrody te własnymi płodami, które dyszą wonią wszystkich okresów sztuki, zwłaszcza zaś starożytności. Wszystkie systemy filozoficzne, wszelkie religie, kraje

i dzieje wszech narodów znajdują u niego odgłos... Od prapieżni stworzenia niemal każde zjawisko przyrody, każde wielkie zdarzenie dziejowe, każde uderzenie żywsze serca ludzkiego znalazło u Vrchlickiego swój wyraz". Taka wszechstronność pod względem treści wymagała też różnorodności formy i stylu. I w tym kierunku Vrchlický przewyższył największych przed nim i obok niego mistrzów poezji czeskiej. Tylu miar wierszowych nie użył z nich żaden, tylu gatunków poezji nie znajdziemy u żadnego.

Do szeregu przekładów polskich dzieł tego poety, zresztą wybornego znawcy naszej poezji i serdecznego przyjaciela narodu polskiego, dorzucam obecnie przekład „Legendy o św. Prokopie“, która doczekała się w Czechach sześciu wydań i liczy najwięcej czytelników między młodzieżą czeską. Wydanie szóste, jest nawet wprost przeznaczone dla młodzieży i na niem oparłem swe uwagi powyższe, oraz przekład następujący.

Tłumacz.

I.

Ucieczka.

- Deszcz z wichurą ślub dziś biora,
Grom im k'temu bębienią,
Błyskawice pochodniami.
Toż to leje z chmur gęstwiny,
5 Toż to gwizdże w gwarnej borze,
Huczy, piszczy, stęka, wrzeszczy,
Trzaska w lesie, jęczy w skałach, —
Aż w tym tańcu kropie deszczu
Podskakują dzikim cwałem!
10 Co za wir to, co za wrzawa!
- Cóż to leci nad borami,
Nito długie, szare cienie, —
Co się miga nad przepaściami,
Jak postacie tajemnicze, —
15 Co po ciosów nagich czaszkach
Toczy się w nieładzie płochym?
Czy to chmury różnokształtne,
Które w burzy bicz piorunu
Gna z dna morza wkoło świata?
20 Chmura-ć zdala, ale zbliska
Z chmur tych szpony wyzierają,
Czarne nogi, sępie skrzydła.
Boże! Wszak to dyabłów sfora! —
Dokąd lecą w takiej nocy?...

25 Lecą dalej, lecą ciągle
Nad wadoły, nad borami
Piorun przodem, grom za nimi,
W skrzydła wali im wichura

Dzika jazda, a bez końca!

30 Lecą, dzierżąc silną ręką
(Ten na plecach, ów na piersiach)
Złomki figur: to bałwany
Onych swojskich, dawnych bogów,
Które teraz nowa wiara

35 Precz wypędza z czeskiej ziemi;
W świętych gajach je obala
Dłoń, co ku nim się wznosiła.
By je ukryć przed zagładą,
W obce je unoszą strony.

40 Dzika jazda, a bez końca!

Tu — spojrz! — pięciu starych dyabłów

Z trudem dźwiga w poprzek wiatru

Złom posągu Trójgłowego¹⁾;

Dwie ma jeszcze tylko twarze,

45 Trzecią już mu roztrzaskała

Piorunowym ciosem młota

Ręka księdza nowej wiary.

Tam dwaj wloką posąg Łady²⁾,

Cały jeszcze, nienaruszon.

50 Ten Swaroga³⁾ pcha mozolnie,

¹⁾ Trójgłów, w narzeczu Lutyków nadbałtyckich Trigław, bożek Słowian pogańskich o 3 głowach; posąg jego znajdował się np. w Winecie cz. Wolinie, sławnym grodzie lutyckim.

²⁾ Łada — nazwa bogini słowiańskiej, zestawianej zwykle z Wenerą (Afrodytą); źródłosłów ten sam, co w wyr. *ład, ładny*.

³⁾ Swaróg — bóg nieba światła: porównaj wyraz sanskrycki *swarga* = niebo, jasność.

Ów Welesa⁴⁾ wlecze chmurą,
Drudzy zaś posążki małe
Szołków, skrzatków, domowników⁵⁾,
Karle, z wykrzywioną twarzą;
55 Jeden ledwie, ledwie dźwiga
Miski, czasze i ołtarze,
Popielnice i trójnogi.
Ciężki lot to i męczący!
Ba! i — zda się — Bóg też nowy
60 W znowie jest z żywiołów walką:
Błyskawica i ulewa
Twarz im smaga bezustannie,
Mgła opada im na skrzydła,
Wicher zaś w pościgu dzikim
65 W kłębek zbija ich szeregi,
Miota nimi, ciska nimi.
Straszny wir i straszna wrzawa!

Ponad lasy skała strzela,

Jak stół płaska. Tu skręcili,

70 Tu złożyli ciężkie brzemię;

Każdy siadł na swym posągu

I sapali bardzo długo,

Wywiesiwszy język krwawy, —

Opuścili czarne skrzydła.

75 „Brzydki czas, nie prawda, bracia?“ —

Z nich najstarszy począł mówić —

„Zmęczył mię ten lot szalony

Bardziej, niż powinien dyabła.

⁴⁾ Weles, po rusku też Wołos, słowiański bóg pasterzy, wspomniany np. w Pieśni o pułku Igora.

⁵⁾ Szotki, skrzatki, domownicy (też choćlikami zwane), niższe bóstwa Słowian pogańskich. Jużto przyjazne, jużte wrogie ludziom; mniej więcej odpowiadają germańskim elfom, karłom, koboldom itd.

- Posłuchajcie: niedaleko
80 Stał jest w skale, w czarnym borze,
Ciemna grotą — nikt jej zna, —
Jest przestronna, nie wilgotna,
Miękki mech jej ściany kryje,
Sam zaprasza do spoczynku.
85 Na mą duszę, w tej jaskini
Złożmy — radzę — ciężkie brzemie,
Noc i dzień spokojnie prześpim.
Snać ustanie spór żywiołów,
Piorun zgaśnie, wiatr ucichnie,
90 My zaś potem w nocy cieniu
W dal, daleko polecimy
Z tej niewdzięcznej ziemi czeskiej“.

- Wnet chór cały przyjął wniosek;
Z wrzaskiem podniósł się tłum cały,
95 Brzemie swe znów chwycił naraz,
Wzbił się z niem w powietrzne sfery —
I znów dalej gromko pędzą
Z tym, co radę dał, na czele.
Błyskawice przyświecają,
100 Bór hen w dole stęka, jęczy
Jako pręt się uginają
Stuwiekowe, szare dęby,
Z skał się toczą wód strumienie.

- Jakby ciemnych chmur tumany,
105 Sfora dyabłów przeleciała
I zniknęła w mroku nocy.



II.

W jaskini.

- Grom wśród skał nie przestał huczeć,
Deszcz z niebiosów lać się strugą,
Piorun błyskać, wyc wichura,
Ale w locie międzymurnym
5 Wnet ustała sfora dyabłów,
Gdy im zdala pośród lasów
Zaczerniała paszcza groty,
Nito straszna piekła brama.
Zahukali, zakwilili, —
10 Jakby wiatr im skrzydeł dodał,
Wpadli szybko wąskiem wejściem,
Przesunęli złomki bogów
I jak cień zniknęli w grocie.

- Wielka grotą była sucha,
15 (Jak to szatan przepowiedział),
Słupy skalne strop wspierały
Z stalaktytów, mech się rozsiadł
— Szary w pół, na pół zielony —
Na korzeniach drzew prastarych,
20 Które jako tęgie żyły
Przewijały się po stropie.
A po kątach suche liście
Wdzięczne wonie podjesienne

- Wydawało, skoro noga
25 Zaplątała się w stos jego.
Pewnie nie znał zwierz tej grotty!
Zwarta gąszcz gałęzi, krzaków,
Kryła wchód tak, że ni jedna
Kropla deszczu wpaść nie mogła.
30 Mrok rozkoszny tu panował
Ponad wszystkim, ty ko piorun
Słabem światłem przez gąszcz błyskał
I znów gasnął. tylko szelest
Deszczu w liściach nie ustawał.
- 35 Tu ukryli dawne bogi;
Oderwali kamień wielki,
Zawalili paszczę grotty
I usiedli w półokręgu
Na mchu i na suchem liściu.
40 Śmiali się i przedrzeźniali,
Gawędzili i mlaskali.
Było im tu sucho — dobrze.
- Echem huczał grom z oddali,
Echem tylko krople deszczu
45 Szeleściły, jakby w półśnie;
Wiatr ścichł tak, że było nagle
Słyszać każdy ruch w pralesie,
Lada trzask gałęzi na mchu
Pod pierzchliwą stopą zwierza
50 I skrzypnięcie starej sosny,
Trzymającej w swem objęciu
Gniazdo sępie, pełne młodych, —
Jak ze szczytu się oderwał
Kamień i w dolinę staczał,
55 I te wszystkie monotonne,
Tajemnicze, jakby z baśni,
Głosy lasu o północy.

- Wtem wśród ciszy tak głębokiej
Nagle się ozwały kroki,
60 Zrazu w dali lecz wnet bliżej, —
Szelest, jakby kto rozgarniał
Gęstą z krzów zaslonę grotty,
Lub przedzierał się przez gąszcze;
Teraz blisko już przy wejściu
65 Było dobrze słyszać kroki
Ciężkie, ostre, — dalsze, bliższe,
Jakby ktoś tu szukał wchodu.

- Dyabły tem się przeraziły,
Łby swe zbiły trwożnie w kupe,
70 Ale wnet się roześmiały:
Któżby śmiał ich stąd wyruszać!

- Lecz wtem ciosy zadudniły,
Ciosy ciężkie, jakby młota,
O ten kamień, co krył wejście, —
75 Ciężkie tak, że się zachwiały
Ściany skał, że wypłoszony
Z gąszczy ptak wyleciał z krzykiem
I wdał frunął w wielkich kręgach
Na szumiących, ciężkich skrzydłach.
80 Kamień chwiał się i poddawał.

- Sfora dyabłów się zerwała,
Z rykiem pędzą ku wchodowi,
Wszyscy trzymać pomagają:
Piętą o ziem się oparli,
85 Jeden czołem, drugi tyłem,
Kamień prą i łańcuch silny
Spletli z rąk swych, nóg i skrzydeł

Ale ciosy nie ustały,
Grzmiały dalej nieustannie,

90 Kamień chwiał się i poddawał,
Dyabły cisną coraz więcej —
Ciężkiej walki nie opisać!

W tem zadudniał cios piorunu;
Gdzieś ugodził obok groty,
95 Aż się zatrzęsł bór w posadach.
Dąb olbrzymi, co nad grota
Rozpościerał swe gałęzie,
W mig zapłonął jasną świecą:
Piorun go porąbał w drzazgi,
100 Spłynął na dół po pniu gładkim,
Jednym susem był na skale,
Rozbił kamień w cztery części,
A te z hukiem się zwały
W grotę i porwały w biegu
105 Dyabłów, których łańcuch gęsty
Rozerwany wił się wkoło.
Za kamieniem zaś, o zgrozo! —
Jakby piorun był mu posłem —
Wielki człowiek się ukazał,
110 Czarnowłosa, czarnowąsa,
W ciemnej szacie, biały sznur miał
Wkoło bioder, w ręce prawej
Kij olbrzymi z krzyżem trzymał
I przybliżał się tak krokiem,
115 Który strwożył ich już zdala, —
Nadczłowieczy, przewielebny.
Na wijące się, jęczące
Dyabły ani zważał, jeno
Urwał z dębu płonącego
120 Gałąź wielką, nią zawinał,
By pochodnią gorejącą,
Przed się wziął swą laskę z krzyżem
I tak wkroczył do jaskini.
Tu pochodnię zatknął w skale
125 I rozglądać się jął wkoło.

Przerażona rota dyabłów
Skrzyła się po kątach groty
Lub za plecy dawnych bogów,
On zaś widząc ich oblicza
130 Drwiące, gniewne i szydercze,
Zerwał z bioder swych sznur biały,
Splótł go w węzły, w dyscyplinę.
Krzyknął gromko, nito burza:
„W imię Ojca, Syna, Ducha!“
135 I już począł dyabły smagać
I tak płoszyć z wszystkich kątów,
Że się pod nogami jego
Wili, potem jednym susem
Aż pod strop się wzniesli w górę
140 I wybili z trzaskiem strasznym
Dziurę w stropie; jeszcze dosiagli
Groźny powróż, błyskawicą
Okrażając grotę szarą,
Skrzydeł sępich lub kopyta
145 I już po nich ani śladu.

Przerwał mnich swą ciężką pracę,
Znów przewiązał biodra sznurem,
Wzniósł ku niebu laskę z krzyżem,
Ukląkł i zanucił głośno,
150 Że aż skały wtórowały:
„Hospodine pomiluj ny!“⁶⁾
Skończył, potem jeszcze długo
Kłęczał, modląc się gorąco.
Burza przeszła, a przez otwór,
155 Wywalony lotem dyabłów,
Zaglądały do jaskini

⁶⁾ Dosłownie: „Panie, zmiłuj się nad nami!“, dośpiew
czeski, przełożony z greckiego: „Kyrie elejson!“.



Pierwszy raz snać od stworzenia
Wielkie i złociste gwiazdy.

Tak to Prokop, sługa boży,
160 Nad Sazawą ⁷⁾ się osiedlił.

⁷⁾ Sazawa (z polska Sadzawa), prawy dopływ Mołdawy,
lewego dopływu Łaby; nad nią powstał klasztor i osada
o tej samej nazwie.



III.

Ora et labora.

Słońce stało w pełni krasy
Na błękitnem, czystem niebie,
Kiedy wreszcie wyszedł Prokop
Z groty, w której noc przeklęczał
5 W rozmyślaniu smutnem, nie śpiąc
W las szedł podziękować Bogu,
W las szedł także pracy szukać,
Bo reguła Benedykta ⁸⁾
Chce, by praca ręka w rękę
10 Szła z modlitwą, jak na kwiecie
Woń z pięknością barw ozdobnych.

O siekiery drzewce silne
Opierając się, w las wyszedł, —
Nią to wczoraj walił w kamień,
15 Który bronił wejścia groty, —
Wyszedł, aby w ciemnym borze
Pień ściąć, któryby mu drzewa
Mógł dostarczyć potrzebnego
Do budowy chaty własnej.

⁸⁾ Św. Benedykt z Nursyi (w Umbryi), założyciel zakonu, noszącego jego nazwę. * ok. 480, † w poł. V. w.; jego „Regula monachorum“ dzieli pracę zakonnika na umysłową i ręczną, kładąc nacisk na drugą. Św. Prokop był mnichem według reguły św. Benedykta.

- 20 Kroczył wązką skalną ścieżką,
Pełną dolów i wybojów,
Przez wczorajszą burzę zrytych.
Przykra to więc droga była,
Lecz witaly go ze szczytu
- 25 Takie wonie, taka świeżość,
Taki chłód i szum i urok,
Że przyspieszył rad swe kroki.
Szkliły się kamienie w słońcu,
Perły rosy pośród trawy
- 30 Lśniły się, jak krople deszczu,
Mech, co zwisał drzewom z brody,
Błyszczał już świeżością nową,
Kora brzoź jak płynne srebro
Skrzyła się w półcieniu buków,
- 35 Lilie polne tuż przy drodze
Kołysały się, kłaniały,
A z błękitnych dzwonek serca
Motyl, który noc w niem przespał,
Frunął, że aż mnich pomyślał,
- 40 Iż to jeden z pięciu listków
Ożył i pod błękit wzbił się.
Z głębi lasu, gdzie mrok osiadł,
Jakby jaki pająk szary,
Sieć snujący nieskończoną,
- 45 Cienie drzew się w dal ciągnęły,
Głos kukulki się odzywał,
Melodyjny a proroczy;
Drozd jej stroną odpowiadał,
Łącząc z skargą jej przeciągłą
- 50 Tajemnicze głosy lasu,
Wiatrów jęk i szelest liści,
Ostry skrzypot drzew gałęzi,
Brzęk schwytej właśnie muchy,
Co po liściu suchym biegła:
- 55 Czasem zabrzmiał wykrzyk silny,
Jakby ktoś niespostrzeżony

Westchnął ciężko z głębi duszy,
Albo jakby ktoś uderzył
Silną dłonią w struny arfy;
60 Po koronach drzew wiatr przemknął
I gdzieś znowu wpadł w gęstwinę.

Prokop wesół coraz wyżej
Kroczył po spadzistej ścieżce,
Czuł, jak wolność mu rozpiera
65 Piersi, jak mu z wonią lasu
Samotności duch całuje
Jego czoło pomarszczone.
Naprzód szedł i chwali! Boga,
Że go wywiódł z labiryntu

70 Ludzkich omdleń, walk i marzeń
W tę spokojną ciszę leśną.

Teraz stał na szczycie góry.
Przed nim okrag nieprzejrzany
Barwne fale swe rozwinął.

75 Dokąd spojrział, same lasy
To czerniały, to modrzały,
Lgnąc do nieba długą pręgą;
Z nich zaś, jak ofiara ranna,
Para się wznosiła srebrna.

80 Tu i ówdzie drzewo-olbrzym
Wyżej wznosił swe dumne czoło,
Naznaczone dżutem gromu,
I rozpinął wszczur naokół
Swe gałęzie rosochate,

85 Jakby szukał swej rodziny.
W dole pod nim, tuż pod zboczem
Stromej, nagiej ściany skalnej,
Bystra się toczyła rzeka,
Na kamieniach się pieniała

90 I burzyła, skoro drogę
Pień jej zaległ wywrócony.
Roje pactwa wirowały

W kręgach ponad czarnym borem;
Szelest drzew i skrzydeł ruchy,
95 Wody szum i ptactwa świągot —
Tysiąc głosów się łączyło
W wir taneczny, aż zawrotny
Dla człowieka - marzyciela.

Ledwie Prokop się odważył
100 Swój zdziwiony wzrok odwrócić,
Wnet na zboczu nad przepaścią
Dąb wyszukał sobie tęgi,
Rozłożył i wspaniały.
Podniósł rękę i zamachem
105 Cios chciał zadać mu w korzenie,
Gdy wzrok jego spoczął nagle
Na koronie: gniazd tam pełno
Obok siebie się skupiło,
Jakby były płodem drzewa,
110 A z tych gniazdek wyglądały
Doń złociste, nagie szyki;
Nad gniazdami zaś bujały
Potrwożone matki skrzecząc,
Że szumiało aż w gałęziach,
115 Nito jękiem, nito płaczem

Dziwna trwoga zjęła wtedy
Mężne serce Prokopowe,
Cios siekiery chybił celu,
Dłoń wzniesiona w dół opadła:
120 Nie mógł... nie śmiał... nie chciał nawet —
Siadł pod drzewem zadumany;
Z głębi piersi głos nieznanym
Wołał doń: „I jakim prawem
Chcesz tu ścinać święte drzewa
125 Cudzoziemcze, jakim prawem?”

Zdało mu się wtedy nagle,
Że kraj cały, jak go widzi,

Jest istotą jedną, wielką,
Kmieciem groźnym a czcigodnym.
130 Głowę jego gdzieś zakrywa
Błękit nieba, skały kości
Są tęgiemi jego czaszki,
Góry — członki, broda, szata —
Nieskończone szumne lasy,
135 Przepasane lśniącym pasem —
Rzeką, która błyszczy w słońcu.
I ten starzec szedł ku niemu
Coraz bliżej, mówiąc groźnie
Szumem fali, szeptem liści,
140 Śpiewem ptaków, echem lasu:
„Czego chcesz tu, cudzoziemcze?
Po coś przyszedł z snu mię budzić,
Ścinać drzewa moje stare,
Z rąbków barwnych sukni mojej
145 Strącać mi ptaszęce gniazda.
Trwożyć sarny moje żółte,
Szukać drogi w lisów jamy,
Przystrzygiwać skrzydeł orłom,
Krokiem swoim ploszyć tany
150 Młodych wilków przy księżycu?
Wracaj, radzę-ć, skąd przyszedłeś,
Chcę spokoju, zapomnienia!”

I wciąż bliżej szedł ten starzec,
Otwierając swoje usta;
155 Prokop widział w nich tam światy,
Jak kołują, jak się roją,
Słyszał głos, by orkan głuchy,
Trzaskot drzew i skalisk, straszny
Wir zawrotny, jakby wszystko
160 Miało runąć w chaos dawny.
Chciał uciekać przed tem widmem,
Gdyż dłoń za nim wyciągało.
W tył się cofał aż na kraniec

Pochylonej, stromej skały —
165 Krzyknął je no i już leciał,
Mrok go połknął w gardziel bez dna,
Tylko czuł i tuszył przepaść. —

Gdy się ocknął, na mchu leżał.
Słońce zapadało w góry,
170 Pod nogami królik leśny
Skubał białą koniczynę,
Z gąszczy łąnie spoglądały
Śmiało, jak niebieskie oko
Pełnych kwiatów na skroni jego
175 Piołun skłaniał i jak cicho
Po styranej ręce jego
Mknęła lśniąca boża krówka
Z rozpiętymi napół skrzydły,
Jakby chciała z dłoni jego
180 Wprost ku niebu wzlecieć w górę
Panu Bogu do okienka.
Prokop poczuł łzę w swem oku,
Ale w duszy poczuł radość;
Głos tajemny tak mu szeptał:
185 „Kto jest dobrym, ten z przyrodą
Zawsze żyje w dobrej zgodzie“.

Więc rozpoczął marsz powrotny.



IV.

R a r a c h.

Zmrok panował w jego grocie,
Gdy powrócił; ledwie okiem
Mógł rozeznać rozrzucone
Wkoło złomki i bałwany,
5 Czerniejące przed nim z dali
Tła podziemia, jak w zwaliskach
Stare miasto zasypane.
Postanowił wnet porządek
Zaprowadzić w tym bezładzie
10 Święty Prokop: jeden bałwan
Mógł posłużyć mu za ołtarz,
Drugi za stół, zamiast łoża
Na gromadzie chróstu w kącie
Za poduszkę stanąć trzeci;
15 Resztę pragnął stąd usunąć,
By z niej stworzyć małą ścianę
Wkoło wchodu do jaskini.

Wybrał dwa drewnienka suche,
Póty tarł, aż się zajęły,
20 Iskra wystrzeliła z żagwi,
Za nią wiotka wstęga dymu,
Wnet wyparta z swego miejsca
Przez pomarańczowy płomień;
Tak zapalił wielki ożóg,
25 W skałę zatknął go i począł
Porządkować złomki skalne,

- Przyśpiewując sobie w pracy
Ulubioną piosnkę swoją:
„Hospodine, pomiluj ny!“
30 Głośno tak, że silnem echem
Rozlegało się sklepienie.
Blask czerwony wnet obudził
Długich, czarnych cieni tłumy --
Jęły pełzać długim rzędem
35 Po sklepieniu i po ścianach,
Obejmując całą grootę
Niby węże; czasem spadła
Łza z łuczywa płonącego,
Łza czerwona na mech padła,
40 Mech wilgotny syczał długo.
Śród tych zwalisk zaś, śród cieni,
Biegał tam i sam olbrzymi
Mnich i dzwigał dłoń a śmiała
Stare bogi rozrzuczone,
45 Najpierw oltarz, potem łoże
Tworząc z nich niewprawną ręką.

- Nagle w pracy swej ustanie,
Dłoń opadła, noga drgnęła;
Ledwie dotknął Swantowita
50 Jęk usłyszał przeraźliwy,
Jakby zawył wilczek młody.
Zrazu mniemał, że barlogiem
Tę jaskinię wybrał sobie
Zwierz zraniony, by w spokoju
55 Wydać tu ostatnie technienie.
Skoczył chyżo, porwał ożóg,
Spojrzał lepiej i — odrętwiał:
Coś czerniało mu pod stopą,
Kłębek czarny a kudłaty,
60 Róg posągu pierś przygniatał
Tej jęczącej dziwnej marze.
Prokop w mig odwalił kamień

- I dopiero zajrzał w lice
Swemu gościu: zoczył rogi
65 Nizkie, zakrzywione trochę,
Krwawy język, oko małe,
Błyskające ognia żarem,
Wstrętą pianą postrzykane
Usta, uczuł dech siarczany.
70 Chwycił więc za kark potwora,
A pod światło go zwróciwszy,
Ujrzał ogon twardy z kiścią,
Małe skrzydła nietoperza
Kołysały się na barkach,
75 Zakończone ostrym szponem,
Stopy skryte gdzieś w kopytach.
Musiał się uśmiechnąć Prokop,
Patrząc na niezgrabne ruchy
Tego tworu to do małpich,
80 To do wilczych znów podobne.
Oglądawszy go przy świetle,
Krzyżem świętym go przeżegnał:
„Azazelu, piekła płodzie,
Czemu wiesz się u nóg mych?
85 Idź i wracaj na pustynię!“
Skrzeczysz tylko — mów coś przecie!
Co nie umiesz? W imię Boga
Stworzyciela, Zbawiciela,
Wzywam ciebie, powiedz zaraz,
90 Czego chcesz tu? — Czyś zraniony?
Pokazujesz wciąż ku wejściu —

⁹⁾ Azazel, nazwa księcia aniołów upadłych, według rabinów i gnostyków; wyraz ten czytamy w księgach kapłańskich Starego Zakonu w ustępie, opisującym obrzęd ofiarowania z kozłów „jednego Panu, drugiego Azazelowi“. Zabijano pierwszego kozła, a drugiego obciążano grzechami ludu i puszczano wolno na pustynię, jako do miejsca pobytu Azazela. Dlatego to św. Prokop każe wracać dyabłu, którego bierze zrazu za owego księcia złych duchów, na pustynię.

- Kamień cię przywalił wczoraj?
Jeszcześ nie zgadł, smocze plemię,
Rodzie węży, że mi Pan Bóg
95 Sam torował drogę gromem?
Chcę, byś rzekł mi, jak cię zową
Między duchy przekłętymi!
Warczysz wciąż, jak wściekle szczenię:
Ra, ra... dobrze, bądź *rarachem*¹⁰⁾.”
- 100 Znów łuczywo zatknął Prokop,
Udarł kawał szaty sobie,
Ziół leczniczych nań nałożył,
Których narwał rano w lesie;
Klęknął nad potworkiem, rany
105 Nie bez śmiechu mu opatrzył,
Potem z bioder sznur zdjął biały,
Związał czarta nim na pniaku;
Boć najmniej mu wierzyć można,
Gdy mu świadczysz dobrodziejstwo.
110 Wziął w dłoń prawą łaskę z krzyżem:
„Teraz mów, jak na spowiedzi,
Ktoś ty, jakie twoje sprawki, —
Mów, czem grzeszysz przeciw Bogu,
Mów, czem grzeszysz przeciw ludziom,
115 Mów, czem chciałeś mnie pokuszać!”

Bies wciąż warczał, twarz wykrzywił.

„Co, nie myślisz odpowiadać?

Czekaj, sprawię ja ci łaźnię!

Zaraz mów: czy zwodzisz ludzi

- 120 Ku kradzieży, ku opilstwu,

¹⁰⁾ Rarach, w mitologii słowiańskiej duch niższego rzędu, wywołujący takie zjawiska w przyrodzie jak: wicher, trąba powietrzna i t. p., potem utożsamiony z dyabłem. Tutaj poeta użytkował dowcipnie słoworód ludowy, łącząc przyczynowo nazwę raracha z warczeniem biesa.

- Ku obłójstwu i bluźnierstwu?
Milczysz!?!... dobrze, ja przemówię.“
Tu okładać poczał łaską
Czarcie plecy, aż się wil bies,
125 Krzywiąc twarz i warcząc ciągle.

- „W imię Boga cię zaklinam,
Azazelu, po raz trzeci:
Mów, czy wchodzisz w ciała ludzkie,
Wzniecasz wściekłość w nich i żądzę,
130 Ryhasz się w bałwanach skrycie,
Zamiast bogów jesz obiaty?
Milczysz?!... dobrze, ja przemówię.“
Znowu poczał mlócić dyabła,
Ten zaś wil się, warcząc ciągle.
- 135 „O złośliwy a podstępny
Ty szyderco niepoczciwy,
Znam cię, znam, już mnie nie zwiedziesz,
Mały biesie: tyś dopiero
Uczniem jest w dyabelskim cechu.
140 Tylko nie śliń mi rąk moich
Swoją pianą jadowitą!
Tyś ów mały, niepozorny
Skrzatek¹¹⁾, który żarty stroi
Z ludzi mądrych, bogu miłych.
145 Tyś na czapce wszechświatowej
Ten szyderski dzwonek mały,
Co w żywiołów gwar straszliwy
Miesza zawsze syk swój wstrętny¹²⁾;
Drobne tylko twoje złości,
150 Judzisz jeno i podżegasz.
Prawda, żem ugodził w sedno?

¹¹⁾ Por. uw. 5 do pieśni I.

¹²⁾ Prokop ma tu na myśli czapkę t. zw. błazeńską.

- Gdy zmęczony chce podróżny
Napić się z leśnego źródła,
Przejrzystego jako kryształ:
155 W lot ropuchę ciśniesz w głębie,
By zmaciła wodę błotem.
Ty w jesieni nad moczarem
Często świecisz się ognikiem,
Z drogi prawej zwodzisz ludzi;
160 Przemieniony w muszkę małą,
Pustelnika w zachwyceniu,
Kiedy widzi siódme niebo,
Póty łechtasz w nos, aż kichnie,
Głową swą uderzy w kłęcznik,
165 Zaklnie, no — i spadnie z nieba.
Gasisz światło na przeciągu;
By rozzłościć tylko ludzi,
Chowasz gdzieś i zapodziewasz
Różne rzeczy, a gdy ręczo
170 Cały dom ich szuka żmudnie,
Ty, skurczony w kącie u stropu,
Śmiejesz się zeń do rozpuku.
Gdy nie możesz wodzić zbójców,
To na nóż choć, który ostrzą,
175 Plwasz, ażeby ostrze jego
Utworzyło się co rychlej.
Tyś złość ludzka, złość zwierzęca.
Ty w złapanej działasz liszce,
Kiedy kąsa rękę łowcy,
180 Tyś szpon sępi, tyś cierań róży!
Prawda, zgadłem grzechy twoje?
Więc rozgrzeszam cię — dość cięgów!
W imię Ojca, Syna, Ducha,
Wszemmocnego Gospodzina,
185 Wyrzuc złość ze swojej myśli,
Bądź mi odtąd sługą wiernym!
Spojrz na święte drzewo krzyża!
Milczysz? tylko łypiesz wzrokiem?

- Chcesz być odtąd sługą moim?
190 Wiercisz się — a widzisz brachu,
Ręce liżesz mi na zgodę!
Będziesz wdzięcznym, cichym, skromnym,
Prawdomównym, próżnym fałszu?
I przyrzekasz mi poprawę?
195 Dobrze, ale na pokutę
Za swe grzechy pozostaniesz
Tak związanym przez noc całą.“

- Skończył i pochwycił czarta,
Zaniósł w kąt — ten wkrótce ucichł,
200 Tylko jego wzrok ognisty,
Błyskotliwy a zielony,
Świecił w mroku ciemnej groty.

Dawno zgasło już łuczywo,
Prokop czuwał na modlitwie



V.

Stare bogi.

- Gdy czuwaniem długiem zmęczon,
Spoczął Prokop na swem łożu,
Nie mógł zasnąć: w duszy jego
Wrzało jak przed groźną burzą.
5 Duszność ciężka, niby kamień,
Serce mu przygniotła, gardło
Pięścią mu ścisnęła silną,
Sypiąc pod powieki senne
Ostry, żrący żwir czuwania.
10 Toteż leżał jak umarły.
Tylko duch się w nim kołatał,
W żyły lał krwi wrzącej lawę.
Długi post i rozmyślanie
W pęta skuły członki jego.
15 Leżał więc z otwartem okiem,
Piersi ciężko oddychały.

- Półmrok zajął całą grootę,
Jeno wkolo ścian czerniały
Rozrzucone bóstw posągi
20 Prokop leżąc nie mógł dojrzeć
Rysów gigantycznych złomków;
Lecz zdawało mu się czasem,
Że się ruszył któryś bałwan,
Że ku niemu wściągnął rękę;
25 Zdało mu się, że zpod ziemi
Głuche dźwięki idą w górę,

- Uderzając w ściany skalne
Coraz ciszej, coraz dalej.
To znów w górze ktoś tam chodził,
30 Po sklepieniu krocząc zwolna.
Prokop czekał każdej chwili
Pojawienia się u wejścia
Jakichś cieni — lecz napróżno.
Wstał więc, aby do modlitwy
35 Zgiąć kolano, złożyć rękę;
Lecz kolano mu zdrewniało,
Ręka jego skamieniała.
Chciał leżąc w głos się modlić
Albo śpiewać — też napróżno;
40 Coś ścisnęło go za gardło.
I tak leżał długo w półśnie,
Czuając, jak nad jego głową
Czas pomyka chyżem skrzydłem:
Usta rozwarł żar pragnienia,
45 Pot ze skroni lał się strugą;
Chciał się przemóc, oprzytomnieć,
Ale już duch jego tonął
W bezgranicznem mar przestworzu.

- Mrok ustąpił nagle z groty,
50 Słabe światło pełnym prądem
Z kątów w jeden punkt spłynęło,
Światła groty w mgnieniu oka
Zlały się w promienie złote.
Między nimi jasne słońce
55 Rosło coraz większe, większe
Aż zakryło wszystko luną.
Z niego zaś się wyloniła
Gigantyczna a wspaniała
Postać, — twarz jej w blasku cała,
60 Nad jej głową wielki orzeł
Rozpościerał chmurne skrzydła,
Z piersi jej zaś wyrastała

- Przepotęźna głowa turza,
Czarna, groźna, a z jej nozdrzy
65 Złoty skier ulewa biła;
Prawa ręka potrzasała
Wielką tarczą bazaltową,
Z której również wyrastała
Owa straszna głowa turza;
70 Lewa ręka opuszczała
W dół siekiere, która parą
Lśniących ostrzy migotała;
Rysy twarzy, wąsy, włosy,
Wszystko to tonęło w blasku.
75 Prokop musiał aż odwrócić
Wzrok swój od zjawiska tego.
Poznał zaraz Radogosta¹³⁾.
Ten zaś chwilę stał bez ruchu,
Potem znów rósł w nieskończoność,
80 Z jednej głowy siedm wyrosło;
Każda z nich miecz w ustach miała
Kolosalny, o dwu ostrzach,
Tak że siedm ognistych prądów
Zdało się wypływać strugą
85 Z siedmiu boga ust, a ósmy
Również w kształcie miecza trzymał
Oburącz sam potwór straszny.
Taki zaś żar wionął odeń,
Jak z wulkanu uspiętego,
90 Kiedy dymi po wybuchu;
Wszystko ciepło świata, wszystka
Siła twórcza ognia buchać
Zdała się i spływać falą

¹³⁾ Radogost, Radegast, przez poetę nazwany Rathiostem, u dawnych Słowian pogańskich bóstwo gościnności i handlu, niby słowiański Merkury.

- Z siedmiu paszczy Rujewita¹⁴⁾
95 W płodne łono starej ziemi.
Ale wkrótce ogień zagasł,
Bledsze światło zajaśniało,
Kolos zmałał w piędzimęża,¹⁵⁾
Olbrzym się przemienił w karła,
100 Wszelka broń mu z rąk wypadła:
Siwy kmieć stał przed Prokopem.
Mdły blask słońca jesiennego
Płonął w jego modrych oczach,
Spojrzał tylko na Prokopa
105 I już znikł — miast niego inna
Wynurzyła się z pomroku
Postać, jakby wrosła w ziemię;
Nogi nagie po kolana,
Dwoje piersi, dwoje pleców,
110 Cztery głowy, cztery szyje,
Broda pięknie uczesana,
Włosy krótko przystrzyżone,
Miecz olbrzymi w ręce prawej
Z pochwą, pysznie ozdobioną.
115 Poznał Prokop Swantowita¹⁶⁾.
Po nim się pojawił Trójgłów¹⁷⁾.
Przed oczyma. usty jego,
Zawój spływał, złotem tkany, —
Nie zna wcale on serc ludzkich,
120 Ani sądzi czynów ludzkich:

¹⁴⁾ Rujewit — pan Rujany (Rugii), główne bóstwo tamtejszych Słowian, według niektórych to samo, co Swantowit.

¹⁵⁾ Piędzimęż — mężczyzna wysoki na pięć (stopę), karzeł, Pigmejczyk. Por. przysłowie staropolskie: na pięćdi mąż, a na łokieć broda

¹⁶⁾ Swantowit — potężny pan; jedno z głównych bóstw słowiańskich, zwane mylnie Światowidem. Święty, znaczący pierwotnie potężny, podobnie jak łaciński wyraz *sanctus*.

¹⁷⁾ Por. uw. 1. do pieśni 1.

- Ubóstwiona obojętność,
Którą zawsze wobec czleka
Odnaczała się przyroda.
Ledwie znikł w półmroku groty,
125 Świt różowy w niej się rozlał,
A po jego falach płyną
Gołębice i łabędzie
Wstęga z tęcz za skrzydła śnieżne
Przywiązane poprzód konczę.
130 W której stała święta Łada ¹⁸⁾
W blasku krasy nieśmiertelnej.
Złote włosy jej spływały
Poprzez skronie, przez ramiona,
Wodospadem kędzierzawym
135 W dół aż po różowe pięty;
W usciech miała pączek róży,
W ręce prawej zaś trzymała
Jabłko wielkie, granatowe,
Wieczny symbol urodzaju.
140 Uśmiech igrał na jej licu,
Złotą falą w niej rozlany,
Tak że zdało się, iż spfucze
Z ust korali drżący pączek;
Jakoż gdy się pochyliła
145 Nad Prokopem, zaraz upadł
Z ust jej w sploty jego włosów;
Drgnął gwałtownie święty Prokop,
Dobyl sił nadludzkich prawie,
Wyprostował się na łożu.
150 Czoło swe przeżegnał krzyżem.
Mara znikła, a z nią luna;
Znów mrok wkoło, ale z kąta
Strzelił nagle krwawy płomień
Towarzyszył mu trzask głuchy,

¹⁸⁾ Por. uw. 2. do p. I.

- 155 Jakby tysiąc gromów naraz
Zahuczało, — straszny łoskot,
Jakby ziemia się zatrzęsła,
Albo źródło trysło z głębi.
A ten płomień coraz większy,
160 Wił się, jakby lśniąca żmija.
W nim zaś Prokop mógł rozeznąć
Czarny cień; ten jednak zniknął,
Skoro płomień pomknął naprzód —
Lecz huk głuchy nie ustawał.
165 Piorun ¹⁹⁾ mówił.
Rączy Prokop
Skoczył z łoża, złożył ręce,
Począł wołać na głos cały:
„Gdzieżeś, wszechpotężny Panie,
Przemów teraz, mam - li wierzyć,
170 Przed kim skłonić mam swą szyję!
Ześlij, Panie kroplę rosy,
Promyk światła — pragnie dusza!
Wy zaś ktoście: Siły, Mocy
I Żywioty, czemu wasza
175 Twarz li w ogniu mi się jawi?
Wszak Jehowa sam też niegdyś
Widzian był w ognistym krzaku!
Czyżbyście wy były bogi?
Człowiek - trzcina chwiać się musi,
180 Gdy się nagle wstrząśnie ziemia.
Ale ja się nie zachwieję:
Szukam prawdy tylko, Panie!
Już nie płaczę, ale skomle,
Już nie wołam, ale krzyczę!
182 A ziejąca ty otchłani,
Straszna, krwawa, z której Piorun
Hukiem gromu się odzywa —

¹⁹⁾ Mowa tu o bożku słowiańskim Piorunie (litew. Perkunas).

Patrz! krzyż święty biore w dłonie
I z nim w rękę przejdę tobą,
190 Choćbym zginąć miał! Chcę prawdy,
Światła, prawdy! Słysz mnie, Panie!“

W ręce dzierżąc laskę z krzyżem,
W płomień rzucił się piorunem;
Płomień zgasł, a kłęby dymu
195 Wzniosły się przez strop ku niebu.

Świtu mrok do groty zajrzał;
Prokop leżał wśród bałwanów
Pokrwawiony i znużony,
Ale we śnie się uśmiechał,
200 Jakby widział huf aniołów,
Z niebios sfer doń sphywający,
A ich skrzydeł ruch chłód z wonią.
Wlewał mu w strwożoną duszę.
Blask wciąż rósł, a otwór groty
205 Całem morzem go rozlewał;
Nim zaś powracali w niebo
Aniołowie, a za nimi
Też skowronek wesół wzlatał
Na próg niebios z dziękczynieniem.



VI.

Pszczoly.

„Wielbij Pana, duszo moja,
Bo mię z prochu wzniosł nędznego,
Piers mi okrył wiary tarczą,
Tonącemu podał rękę!
5 Alleluja! Alleluja!
Zerwał wszystkie sieci wrogów,
W które serce me złowili, —
Jak ku wodzie liść schylony,
Zwrócił duszę mą ku słońcu.
10 Pierzchły wszelkie nocne cienie,
Pierzchły w dziupły skał i nory.
Świta! świta! Alleluja!
Ziemia, niebo się uśmiecha
I weseli się ma dusza“.

15 Tak potężnym, dźwięcznym głosem
Zrana nucił sobie Prokop,
Obalając bóstw posagi;
Błyskawicą migał topór,
Walił, tłukł, rozbijał, miażdżył,
20 Błyskawicą wzrok mu pałał,
Piersi dumą falowały,
Usta drgały głośnie pieśnią:
„Wielbij Pana duszo moja!
Alleluja! Alleluja!“

25 Rozbił Prokop bóstw posagi,
Z gruzów ich w kąciku szarym

- Wzniósł ognisko skromne sobie
Pod otworem jaskiniowym,
Aby słupy czarne dymu
30 Miały wolny bieg ku niebu.
Z reszty zaś kamiennych złomów
Złożył ścianę, niby sionkę,
Aby w niej mieć skład na drzewo,
Na narzędzia i na jadło,
35 Na czem grota też zyskała.
Potem wymiółł grote czysto.
Dziury w stropie mchem zatkawszy,
Wyciął sobie w skalnej ścianie
Wnęki, niby małe okna.
40 W kropielnicę zaś wyżłobił
Bałwan, który stał u wejścia,
Drugi bałwan był mu stołem,
Trzeci łożem i klęcznikiem

- Wyszedł w las. Jął pnie obalać,
45 By z nich złożyć drzwi drzewiane,
Któreby zamieci śnieżnej
Wstęp zaparły do jaskini.
Potem myślał, plug jak zrobić;
Wesoł ociosywał pniaki,
50 Wielką gałąź obrał z liści,
Drobne wiązał do gromady,
By je łatwiej w dom dostawić;
Gołe pnie olbrzymią siłą
Pozawlekał na spadzistą
55 Krawędź zbocza tam, gdzie skała
Stromą ścianą się kończyła;
Stąd je spuszczał na dolinę.
Tożto była dzika jazda!
Żwir i glina z każdym pniakiem
60 W głąb potoku się staczały,
W górę wzbijał się kłęb kurzu;

Głucho zadudniała ziemia,
Echo w dali wtórowało.

- Przy natężającej pracy
65 Zaskoczyło go południe;
Poczuł, jak go słońce pali,
Więc siekierę wbił w pień drzewa,
Złożył ręce do modlitwy,
A po krótkim rozmyślaniu
70 Poszedł w las; chciał bowiem znaleźć
Czyste źródło świeżej wody,
Leśny ziół korzonki zbierać.

- Szedł gęstwiną; na polance
Wnet się znalazł jak tu parno!
75 Świerszczy ostry świst się wznosił
Z popękanej, wyschłej ziemi
Chciał już obejść krąg polanki,
Kiedy nagle na jej środku
Stary dąb go zastanowił,
80 Który w dal na wszystkie strony
Sto gałęzi rozpościerał.
Wkoło dębu rój pszczół fruwał
Wypłoszony, zalekniony,
Brzęcząc głośno bez ustanku.
85 Tuż przy dębie coś czerniało.
Zbliżył się i poznał: bury
Niedźwiedź stał na tylnych nogach
Tuż przy dębie, zapuściwszy
Głowę całą w dziupłę drzewa.
90 Przednią łapą zaczął potem
Wydobywać całe plastry
Złote miodu. Prokopowi
Żal zrobiło się w tej chwili,
Że siekiery nie wziął z sobą.
95 Ale ufny w pomoc bożą,
Pień okrążył niespodzianie,

- Drwa szukając albo kołu,
Z którym mógłby bój rozpocząć. —
Miś go zauważył jednak ;
100 Miód rzuciwszy, doń się zwrócił
I na tylnych nogach zaczął
Postępować za Prokopem.
Ten zaś widząc, co mu grozi,
Już nie szukał pnia, bez broni
105 Szedł ku niemu — to w bok skoczył,
To znów umknął poza drzewo.
Dosyć długo się ścigali,
Niedźwiedź mruczał rozwścieklony,
Ślepie omal że mu z powiek
110 Nie wyskoczą, sierć na grzbiecie
Jeży się się rozczepierzona.
Wtem przyskoczył Prokop susem,
Rękę wznosił i silną pięścią
Ugodzony w środek czoła
115 Z głuchym rykiem runął niedźwiedź.
Już się oń nie troszczył Prokop,
Poszedł do pnia, — z jego dziupły
Uśmiechały się doń plastry
Wielkie, złote, pełne miodu.
120 Cały stóg ich wybrał szybko,
Ledwie mógł go sam udźwigać
Przytem myślał, jak to niegdyś
Sam Zbawiciel miód spożywał
Po cudownem zmartwychwstaniu,
125 Gdy się znalazł w towarzystwie
Apostołów słabej wiary.
Miodem żywił się Jan Chrzyciel,
Co to równał ścieżki Pańskie,
Żyjąc w puszczy — dawno temu.
130 Po dnia tego żmudnej pracy
Z smakiem wodę pił z krynicy.
Znalazł ją przy swojej grocie,
Gdzie spienionym wodospadem

- Z stromej skały się staczała,
135 By wnet wlec się srebrną wstęgą
Po murawy aksamicie.

- Tu skierował swoje kroki,
Lecz przez drogę towarzyszy
Miał w pszczoł roju wystraszonym ;
140 Wkoło głowy mu brzęczały,
Opadały nawet niżej,
Jakby chciały, póki pora,
Odbić jeszcze miód zabrany.
Siedząc mu na skroniach, włosach,
145 Rękach, szatach żadna przecież
Nie ukluła pustelnika.
Przy odgłosie ich muzyki
Wszedł do groty — tu zaś widząc,
Jak po wnętrzu się rozbiegły
150 Pszczółek roje, wpadł na pomysł,
Że pomieścić mógłby gości
W sionce groty: w takim razie
Zawsze miałby miód pod ręką
I nie musiał w iść w zapasy
155 Z niedźwiedziami, ze zwierzyną.
Wziął dwa plastry, pełne miodu,
Wybrał głębszy otwór w skale,
Plastry włożył w jego ramy,
A rój cały, za nim lecąc,
160 Usadowił się tam chętnie.



VII.

Żywot w zimie.

- Przyszła zima, w śnieżnej szacie
Stały góry, popod skałę
Wlokła się leniwie rzeka.
Ostry wiatr bez przerwy niemal
5 Od północy wiał, strząsając
Dyamenty i kryształy
Każdym swoim tchem z gałęzi
Drzew, co pod ciężarem śniegu
Aż do ziemi się zginały.
10 Miłym więc był pobyt w grocie,
Gdy się Prokop wrócił z lasu,
Gdy z ogniska buchnął ogień,
Gdy wesoło się rozdymał,
Oświetlając skalne ściany,
15 Które lśniły srebrem szronu
I w odblasku jego grały
Całą skalą barw tęczowych.
Prokop siadał przy ognisku,
To głęboko zamyślony,
20 To splatając pilnie sieci
Z wiotkich giętkich prętów wierzby,
Lub poprawiał potargane,
Nawet łódkę sobie zciosał,
I przybory gospodarskie;
25 Wszystkiem był w tej cichej puszczy:
Był rolnikiem i woźnicą,

- Łowcem śmiałym i rybakiem,
Pustelnikiem i prorokiem.
W szare dni pochmurne siedział,
30 Głowę podpierając dłońmi,
I rozmyślał o żywocie,
Biegu świata. o wieczności
I o świecie, który wtedy
Obcym zdał mu się i innym,
35 O przyrodzie. o tej wiecznej,
Niespożytej jej potędze,
O człowieku, który nie wie,
Skąd się wziął i dokąd idzie,
O pewności owej wiary.
40 Która każe składać wszystko
W Bożą dłoń, jak w pewną przystań.

- Raz — a było to dość późno —
Chciał już spocząć na swem łożu,
Gdy usłyszał u wrót groty
45 Szelest i trwożliwe kroki,
Wreszcie dziwnie smutne jęki.
Więc otworzył — ujrzał łanią,
Stała przed nim z trojgiem młodych;
Gdy ujrzała pustelnika
50 Przybliżyła się radośnie,
Zabeczała, a w jej głosie
Odczuł Prokop również radość.
Wściągnął ku niej dłoń, a ona
Szybko ją poczęła lizać.
55 Bezwątpienia zima sroga
Do tej groty ją zagnała.
W której snąc mieszkała niegdyś.
Prokop gładził sierć jej miękką,
Lśniącą szyję jej poklepał,
60 Zwabił w grotę ją, do sionki
Zawiódł, naniósł mchu i chróstu
I podścielił jej choiny,

Wieczór zaś wyrzezał sobie
Małą miszkę; a gdy widział,
65 Że już młode się nassały
Aż do syta, zaczął doić:
Odtąd miał do miodu mleko.

Małe jego gospodarstwo
Rosło szybko; raz nad ranem
70 Zoczył coś u łoża swego.
Jak się kręci, biega, igra,
Przyjrzał się i poznał w mroku:
Byłto leśny królik szary,
Za nim wybiegł drugi taki
75 I nuż psoty, nuż igraszki —
Zobaczyły gałąź w kącie
I już skubią świeże listki,
Aż mlaskają; Prokop widział,
Jak ich długich uszu cienie
80 Skaczą na przeciwnej ścianie.
Nie przeszkadzał im w ich ruchach,
Dzikich skokach i koziolkach,
A gdy wstał, z radością spostrzegł,
Że się nawet nie przelekły,
85 Lecz igrały u stóp jego.

Raz znów Prokop zauważył,
Że zasoby jego miodu
Nikną w sposób zagadkowy.
Kogo o to podejrzyc?
90 Czy się mylił? Wszak wyraźnie
W noc następną słyszał kroki —
To zbliżały się do łoża,
To znów zwolna oddalały,
Aż się w przedsień oddaliły.
95 Wnet ucichły, lecz wnet znowu
Zadudniały — znów ucichły.
Potem ozwał się brzęk pszczołek,

Jak śród lata, gdy się roją,
I mlaskanie, wreszcie żucie.
100 „Święty Boże!“ jak piorunem
Ugodzony, zadrzał Prokop,
„Zapomniałem zamknąć wrota —
Pewnie niedźwiedź wskutek mrozu,
Lub zwabiony wonią miodu,
105 Którą czuje nawet zdala,
Przyszedł mi okradać pszczoły!
A cóż łania?“ — nie dokończył
I chciał już wyskoczyć z łoża.
„Mamże się po ciemku mierzyć
110 Z nieznaną siłą wroga?
Znów te kroki, bliżej, dalej —
Jakże w bój iść mam z niedźwiedziem.
Skoro nie wiem z której strony
Skoczy na mnie?“ — Wtem ruch ustał,
115 Ciemne skrzydła noc rozsunęła.
Ledwie się doczekał dzionka;
Wstał, — wesołym dźwięcznym bekiem
Wnet go łania przywitała,
A króliki u stóp jego
120 W mchu igrały tak, jak zawsze;
Poszedł do pszczoł, teraz zdrętwiał:
Wszystkie plastry wyłamane,
Pszczoly poduszone w glinie,
Wkoło pełno kęsów wosku,
125 A rój pszczoł, co uszły mordu,
U powały się przytulił,
Zbity w kupę, smutnie brzęcząc.

Co tu począć? nie wie Prokop.
Oporządził, jak potrafił,
130 Potargane plastry pszczołom,
Które wnet wróciły chętnie
Do swej pracy, przelatując
Po jaskini i przez otwór,

Nito lzy złociste, jasne,
135 Aż spoczęły po dawnemu.

„Czy to był w istocie niedźwiedź?“
Rozumował Prokop dalej;

„Jak się zmieścił w dziurze stropu,
Jak do pszczoł odnalazł drogę?“

140 Jakże lania ocalała

I ja sam mu nie wpadł w łapy?
Bądź co bądź, dziś będę czuwał.“

Wziął motykę, począł kopać
Blisko pszczoł, wygrzebał jamę.

145 Jak ją robią na niedźwiedzie;

Z wierzchu zakrył ją choiną,
Potem cicho i bez troski

Wieczór spoczął na swem łożu;
Nasłuchiwał — znów te kroki.

150 To w pobliżu, to znów dalej,

Wreszcie głośny trzask choiny —
Buch! — to był nielada huczek!

„Boże! to z pewnością niedźwiedź“,
Myślał Prokop, „lecz napowrót

155 Nie wylezie, w dobrą łapkę

Dostał się, już dziś spokojnie

Sam spać mogę i me pszczoły.“

Ledwie się doczekał rana;

Wziął siekiere tęgą, ciężką,

160 I ostrożnie przeszedł grotę

I ostrożnie podniósł gałąź —

Cisza w jamie, nic nie drgnęło;

Śmiało sięgnął Prokop w jamę,

W gęstą sierć się zanurzyła

165 Jego ręka — jeszcze cisza;

Ze wszej siły ciągnie w górę

I roześmiał się serdecznie

W ręku bowiem jego wisiał

Wijąc się i jęcząc Rarach;

170 Przytem język wciąż wystawiał,

Cały od pszczoł pokąsany,

Spuchły, krwią ociekający.

„Tyś chciał miodu? Dość, zaiste.

Bratku, ukaranyś za to! —

175 Powinienbym cię, łakomcze,

Też ukarać jeszcze ostrzej.

Teraz biegaj, nanoś wody.

Dość mi strachu napędziłeś!“

Rarach, cały przerażony,

180 Począł lizać ręce jego,

Potem spełnił rozkaz migiem;

Wkrótce znikł ponownie z groty,

Lecz spotulniał tak, że Prokop

Puścił go zupełnie wolno;

185 Sam do pracy brał się chętnie,

Gdy go Prokop potrzebował,

Jeno całkiem swej natury,

Tej złośliwej, tej podstępnej,

Nie mógł wyzbyć się na zawsze.

190 Drobiazgami często drażnił

Pana swego przy modlitwie,

Roztargnienie często wzbudzał,

Chociaż potem srogo zawsze

Pokutował za swe złości.

195 Raz gdy Prokop przy ognisku

Siedział, drzewo ociosując,

Rarach pełzał koło niego

I tak z nudów zaczął nagle

Trzaski drzewne i polanka

200 Kłaść mu na okraju szaty;

Sztuką swoją czarnoksiężką

Tak potrafił kształt im nadać

Żmij i ropuch, że jaskinia

- Wkrótce była pełna płazów,
205 Które z szaty pustelnika
Rozlażyły się po grocie.
Długo ze spokojem Prokop
Znosił te dyabelskie figle :
Nagle jednak się obrócił,
210 Krzyż uczynił nad plugastwem,
Strząśł je z szaty, a to zaraz
W rój płomieni się zmieniło :
Modre, żółte, zielonawe
Strzelające na wsze strony.
215 Te Raracha dosięgnęły
Twarz i łydki, żartkim wirem
Otoczyły go dokola,
Tak że był wśród nich i wił się
Aż do wejścia grotty — uciekł
220 I do trzech dni nie powrócił.
Gdy zaś przyszedł, musiał Prokop
Z całej duszy się roześmiać,
Widząc całe ciało jego
Popalonem w wielu miejscach.
- 225 Lecz nie trwało wcale długo,
A znów nowy podstęp uknuł
Rarach: oto w miskę mleka,
Którą Prokop spijał rano,
Zwiędłych liści mu narzucał,
230 Brudnych i na pół zniszczonych.
Potem rano wiaźł do kąta,
Aby móc stąd obserwować,
Jak pustelnik rozgniewany
Ciśnie miską, pełną liścia.
235 Ale jakże się zadziwił!
Prokop wstał, a po modlitwie,
Gdy się dotknął brzegu miski,
Aby ją do ust przychylić,
Naraz z niej wyleciał w górę

- 240 Rój motyli śnieżnobiałych,
Powirował po jaskini,
Jakby chmura śnieżnych płatków,
Lub deszcz listków białej róży,
Wzbił się pod strop i tam zniknął.
245 Żdziwion patrzył Prokop za nim ;
Z mleka zaś się unosiła
Woń niezwykła, świeża, słodka.

Wypił mleko święty Prokop
I z uśmiechem spojrział milcząc
250 Na Raracha, który w kącie
Trwożnie skulił się zawstydzon.



VIII.

Bój z żubrem.

Młoda wiosna odgarnęła
Sennej, rozmarzonej ziemi
Białą chustę śniegu z czoła.
Ziemia zaś się uśmiechnęła
5 I zadrżała we wiosennem
Słońcu, jak dziecina zmarzła ;
Ale wnet otrząsała z włosów,
Czarnych lasów, szron i śniegi
I niebyło jej już dziwno,
10 Gdy jej łono raz nad ranem
Okraśliły mech, konwalie,
Fiołki i urocze dzwonki.

Co za cuda działa wiosna!
Tehnie — i znika szron z gałęzi,
15 Skoczy — lód na rzekach pęka,
Huknie — już skowronek buja.
Co za cuda działa wiosna!
Spojrzy w koło — bujna trawa,
Przemknie obok — pełno woni,
20. Śmieje się — a w sercach miłość.

Wyszedł Prokop z chaty swojej
I otworzył, głośno nucąc,
Wrota groty aż na oścież.
25 Fale woni go oblały.
Zwiędłe liście, w mchu drzemiące,
Świeże liście na gałęziach:

Wszystko dyszy miłą wonią.
Silnym prądem odświeżony
30 Wietrzyk wdarł się do jaskini,
Złoty promyk mrok rozświecił.
Łania w sieni pustelnika
Głowę wzniosła, zabczała.
A i pszczoły popod stropem
35 Obudziły się, jakgdyby
Wiosna palcem ich dotknęła.
Obudziły się, zabrzęcza,
Naprzód starszą towarzyszkę
Wyślą na dwór, na prześpiegi,
40 Czy to prawda, — co się dzieje ;
Lecz ta, snąc oczarowana
Kwieciem, wonią i zielenią.
Gdzieś zbłądziła na gościńcu.
Nie wracała — pełnym rojem
45 Wszystkie popędziły za nią,
Znów latały we drzwiach groty
Wkoło głowy pustelnika
I migaly się w przelocie,
Jakby złote krople deszczu,
50 Pełne ruchu, każda w ucho
Zabrzęczała Prokopowi :
Wiosna już jest, wiosna, wiosna!

Dni przecudnych cały szereg
Nastał teraz z młodą wiosną.
55 Prokop nie ustawał w pracy
I nie wiedział, jak czas mija ;
Ledwie w nocy po modlitwie
Spoczął w łożu, już go witał
Śpiew wesoły jaskółeczki,
60 Która do wrót jego groty
Przyczepiła swoje gniazdko.
W ruchliwości nie ustawał,
Pnie obalał, ociosywał,

- To doświadczał znów narzędzi,
65 Które w zimie w długie noce
Sam sporządzał pilną dłonią.
Wyszedł na dwór i na skale
Wybrał przestrzeń w środku lasu,
Odpowiednią na szmat roli.
70 Chciał ją zorać, gwizdnął głośno
Na Raracha, wrócił po pług,
Zaprzągił czarta, podniósł oścień
I już pierwszym silnym ciosem
Zranił czarne piersi ziemi.
- 75 Ta nie łatwo się poddała;
Na skalisku grunt był twardy,
Długo stawał opór radłu;
Pierwsza bródza była płytka.
Prokop pług zatrzymał z czartem,
80 Obszedł naprzód całe pole,
W każdą stronę świata robił
Znaki krzyża, błogosławiąc,
I przemawiał temi słowami:
„Słysz mnie, ziemio, matko ludzi!
85 Skało, któraś do niedawna
Była snąc ołtarzem bogów
Wymyślonych, pełnych fałszu,
Bądź ołtarzem pracy ludzkiej,
Bądź kolebką, z której inne,
90 Lepsze, płodne, zdrowe życie
Wykiełkuje złotym łanem
Kłosów pełnych i szumiących!...
Ziemio, ja cię błogosławię —
Miasto wodą poświęcaną —
95 Pierwszym potem czoła swego,
Pomny tego, co rzekł w raj
Do człowieka Pan Bóg w gniewie:
W pocie czoła będziesz odtąd
Wydobywał z ziemi chleb swój!

- 100 Skało, w której do niedawna
Hulał może rój złych duchów,
Południków i czarownic,
Ugnij karku; większy bowiem
Zbliża się do ciebie mocarz —
105 Ludzki duch, co z nagich piersi
Twych, piorunem poszarpanych,
Złote kłosa ci wyludzi!
Pomnij, że tu każda grudka
Piersią, z której życie wieczne
110 W ziarno splywa kiełkujące;
Rozkrusz tedy grunt swój twardy,
Odsłoń szatę, która kryje
Miękkie łono twe kamieniem,
Glebę żyzną pod mój zasiew.
115 W imię Boże służże ludziom!“

- Tak obszedłszy pole wkoło,
Wrócił modląc się do pługa,
Podniósł oścień, zaciął czarta,
Zarył radło w tęą skałę
120 I raz jeszcze nie bez trudu
Pierwszą brózdę wzdłuż przejechał.
Twarz Raracha się chmurzyła,
Wszystkich sił dobywał z siebie,
Chociaż nie mógł pojąć wcale,
125 Co zamysła Prokop znowu,
Na co tego — pewnie na to,
By go nękać; więc przystanął,
Dalej nie chciał iść ni kroku.
Prokop długo nie rozmyślał,
130 Podniósł oścień, zaciął czarta,
Tak że aż boleśnie zawył
I znów dalej włókł pług brózdą.
„Więcej w głąb!“ zahuczał Prokop.
Czart sił dobył i zajechał,
135 Tak że w brózdzie niemal zniknął

- Z całym pługiem; lecz w tej chwili
Uczul oścień na swym grzbiecie.
„Biesie, nie znasz miary w niczem.
Oraj płyciej!“ huknął Prokop.
- 140 Rarach dobył pługa z jamy,
Począł ciągnąć nową brózdę,
Ale ledwie radłem dotknął
Twardej skały, znów się kręcił,
Jakby szerszeń siadł mu na nos;
- 145 Z trudem pędził za nim Prokop,
Lecz go dopadł, podniósł oścień
I czart uczuł, co to warte.
„Teraz w prawo idź po brózdzie!“
Czart się długo nie namyślał
- 150 I pogonił susem w prawo,
Omal że ze stromej skały
Nie spadł na dół wraz z Prokopem.
„Więcej w lewo!“ krzyknął znowu
I już cały zaprząg pędził
- 155 W lewo, gdzie w gęstwinie krzaków
Utknął -- na nieszczęście własne.
Same głogi i ożyny
Powitały tam Raracha;
Chciał się wymknąć, lecz wciąż dalej
- 160 Płatał się w nich coraz bardziej,
Aż nareszcie Prokop musiał
Swym toporem poprzecinać
Gęste ciernie; tak wydobyl
Czarta, całkiem krwią zlanego.
- 165 Prokop nie mógł się już złościć,
Widział, że z nim niema rady,
Wyprzągł go do domu posłał,
Pług zostawił na ugorze
I w las poszedł zamyślony.
- 170 Tu rozgarniał gąszcz gałęzi,
Młodym liściem osypanych,
Każdym krokiem budząc we mchu

- Tysiąc woni rozmaitych;
Wtem przystanął — słyszy z dali
- 175 Głuche ciosy, jakby ktoś tam
Twardem czemś o ziemię walił.
Zwrócił kroki w tym kierunku,
Staął i gałęzi ugiał —
Spojrzał, zadrżał, już z radości
- 180 Krzyknąć chciał, lecz wczas się wstrzymał.
Pośród krzaków w gęstej trawie
Leżał sobie żubr olbrzymi,
Ze spokojem żując trawę,
Ogryzując młodą korę.
- 185 Głowę miał, jak odlam skały,
Powleczoney szorstką skórą.
Popękaną w wielu miejscach,
Szyję jakby z żył kamiennych,
Miasto mchu czerniała na nich
- 190 Już zdaleka krótka grzywa;
Żebra jak olbrzymie klepki
Tułów mu obejmowały,
Jako belki były kości,
A racicą jak maczugą
- 195 Walił w ziemię, że aż drżała
Każdym razem, aż kurz gęsty
Wzłijał się kłębam w górę.

- Prokop obszedł żubra zrecznie,
Tak że w twarz mu patrzył twarzą,
- 200 Skulił się i jednym susem
Z trzaskiem w jedno zjął gałęzie,
Tak że żubr mógł widzieć tylko
Głowę jego w wieńcu włosów.
Przeszył Prokop, przeszył żubra
- 205 Wielkich demonicznych oczu
Swych spojrzeniem płomienistym,
Żubr zaś swoich nie odwrócił.
Lecz wytrzymał ich spojrzenie,

- Tylko przestał bić o ziemię
210 Kiścią kudłatego chwostu.
Długo tak patrzyły na się
Dwie potężnych kształtów głowy:
Żubrza — siły nieskielezanej
Tej przyrody niespożytej,
215 Niepodatnej, wiecznie dzikiej;
Ludzka — siły, ożywionej
Iskrą ducha myślącego,
Poświęconej życia bolem,
Spotężniałej snami, pracą.
220 Prokop nie odwrócił wzroku.
Zdało się, że iskry biją
Z jego oczu, a te iskry
W krąg płomienny się splatają
Wkoło żubra, aż go dławia,
225 Kark mu tłoczą, jakby jarzmo,
Łamają nogi gigantyczne.
Prokop wstał i żubr też powstał, —
Chyląc głowę, kroczył zwolna.
Ani słowa nie przemówił
230 Prokop, lecz majestatycznie
Kroczył lasem, a żubr za nim.

Aż przy pługu Prokop skinał,
Żubr sam głowę schylił w jarzmo
I już szła igraszka niemal
235 Ciężka praca; twarda ziemia
Jakby zmiękła, czarne brózdy
Kładły się po sobie pięknie,
Równą linią, jakby fale

Wszystko wnet się tu zmieniło;
240 Ziemia, ranna ciężkim pługiem,
Zawoniała, z niw i lasów
Różne ptactwo się zleciało:
Gawron, co poważnie stąpa,

- Wrona, co wciąż podskakuje,
245 Piegża też tu przysła płocha
Z chórem wróbli-swawolników,
A wysoko pod błękitem
Huśtał się skowronek szary,
Nucąc najpiękniejszą pieśń swą,
250 Jakby przejrzał, że tu kiedyś
Zafaluje ozimina
Miętka i zielona, w której
Będzie mógł swe gniazdko usłać.

Prokopowi przyszło na myśl,
255 By do żubra przyprząc czarta;
Nie przyspieszy to roboty —
Prawda, lecz złośliwy Rarach
Mieć nie będzie sposobności
Do knowania niecnych planów.
260 Jak zamierzył, tak uczynił:
Żubr cierpliwie patrzył na to.
Jak doń czarta przyprzagnięto,
Który bronił się, wierzgając
Kopytami i skowycząc.
265 Dziwną parą orał teraz
Twardą skałę święty Prokop.
Lecz niedługo; Rarach bowiem,
Chcąc się zemścić na Prokopie,
Złowił baka, których roje
270 Uganiały wkoło roli.
I gdy z pługiem nawracali,
Wetknął go do nozdrzy żubra,
Z których były kłęby pary.
Żubr gwałtownie targnął sobą;
275 Bąk mu jednak brzęczał w nozdrzu,
Gmerał, łąził, kłuł, łaskotał;
Wreszcie machnął żubr ogonem,
Jednym rzutem pług rozwalił
I racią trafił biesa,

- 280 Tak że zmroczon w bok odleciał.
A Prokopa, gdy olbrzymią
Siłą swą chciał go zatrzymać,
Wplątał do postronków pługa.
Grzbiet najeżył, nito grzebień,
285 Z oczu mu padały gromy,
Pocwałował i po skałach
Włókl za sobą pustelnika
Aż na okraj stromej ściany,
Z której chciał się rzucić na łeb.
290 Straszny bój się zaczął teraz:
Żubr dobywał wszystkich sił swych,
By Prokopa strącić na dół;
Ten zaś rwał, jak żdźbła, postronki,
W których sieci zaplątany,
295 Dostał się na okraj skały. —
Zerwał się z olbrzyma siłą,
Żubra wziął za oba rogi,
O grunt skały oparł piętę.
Wzrok utopił w ślepiach żubra,
300 Z których padał grom za gromem,
I wstecz parł nieubłaganie
Zwierza, który stawiał opór,
Bijąc chwostem wkoło siebie,
Tak że gęsty tuman kurzu
305 Zakrył obu zapaśników.
Gdy już walka doszła szczytu,
Prokop schylił się nad żubrem,
Że aż uczuł żar tchu jego,
I zaszeptał mu do ucha
310 Jeden wyraz — a żubr nagle,
Jak powalony, padł na ziemię:
Tak obala się od ciosu
Dąb pra-lasu, który gromom
Opór stawia nieustraszon.
315 Zrazu leżał, jak nieżywy,

Przymknął oczy, ledwie dyszał,
Potem zniósł cierpliwie pęta,
Szedł, jak koźlę, za Prokopem.

Takto Prokop orał czartem
320 I w zapasy szedł ze żubrem.



IX.

Dziwni goście.

Wiele lat tak chyżem skrzydłem
Przeleciało, nad Sazawą
Ciągłe mieszkał Prokop w grocie.

- Raz pod wieczór z lasu wracał,
5 Uznojony dzienną pracą.
Cienie kładły się w dolinach,
Każde drzewo z wiatru wiewem
Zdało się mrok strząsać z śniecią;
Prokop, tonąc w zadumaniu,
10 Chciał już w jar swe kroki zwrócić,
Gdy posłyszał głosy ludzkie.
Zadrżał — uszedł nieco drogi,
Znów usłyszał głosy ludzkie.
Uczuł nagle lżę w swem oku.
15 Zatrzymawszy się, wciąż słuchał,
Jak te głosy się zbliżały.
Któż to mógł zabłądzić tutaj? —
Chróst aż trzaskał pod nogami
Osób, które się zbliżały;
20 Teraz już przez splot gałęzi
Rozeznawał czarne płaszcze,
Długie laski, nito szczudła,
Kapelusze, których krysy
Zacieniały twarze obce,
25 Obcą też ich mowa była,
Bo jej Prokop nie rozumiał:
Poznał tylko, że to mnisi.

- Z ruchów zaś i wymachiwań
Rąk, że z drogi gdzieś zblądzili
30 I sprzecają się zawzięcie
O to, gdzie się teraz zwrócić.
Więc rozgarnął wnet gałęzie,
Podszedł ku nim i donośnie
Po łacinie ich pozdrowił:
35 „Pokój z wami, bracia w Panu!“
Otoczyli go dokoła
I, ściskając mu prawicę,
Łacińskimi pytaniami
Zasypywać go poczęli:
40 Kędy droga na Wyszehrad,
Co zacz on, gdzie jego chata,
Możeby ich poprowadził.
Przytem jedni jego odzież
Musztrowali bardzo ściśle,
45 Drudzy zaś pomiędzy sobą
Rozprawiali w obcej mowie,
Potom znów doń po łacinie
Wnieśli prośbę, by w swej chatce
Nie odmówił im noclegu
50 I nazajutrz wyprowadził
Z lasu ich, którego fale
Otoczyły ich tu zewsząd.

- Prokop się uśmiechnął słodko
I do groty zawiódł mnichów,
55 Przepraszając, że uboga,
Jak przystoi pustelnikom;
Mnisi z trwogą a ciekawie
Rozglądali się dokoła.
A on znosił, co miał tylko:
60 Mleka łani, miodu plastry,
Wody z źródła, poczem zaczął
Słać im łoże na podłodze.
Także ogień sam rozniecił,

- Wreszcie siadłszy między nimi,
65 W ich rozmowę się wsluchiwał.
Tak dowiedział się, że z Niemiec
Wyszli i światami ciągną,
Głosząc wiarę Chrystusową,
Także to, że papież rzymski
70 Sam pozwolić raczył na to
I sam cesarz rzymski śle ich
Tu do Czech, proszony o to
Przez Oldrzycha, księcia z Pragi,
Aby w Czechach pomagali
75 Szerzyć świętej wiary prawdy.
O jedności też Kościoła
Powiadali, który łączy
Wszystkie ludy wspólnym węzłem.
Wychwalali własny klasztor.
80 Z którym się musieli rozstać.
Przyganiłi lasom czeskim,
Co ni dróg, ni końca mają. —
Mowie, dla nich całkiem obcej.
Wreszcie, dobrze się najadłszy,
85 Odmówili pośpiewując
Swe nieszpory po łacinie
I, znużeni swą podróżą,
W mech runęli na swe łoża,
A jak padli, tak natychmiast
80 Snem usnęli sprawiedliwych.

Tylko Prokop nie zasypiał;
Nad ogniskiem, które gasnąc
Żary swe w popiele kryło.
Siedział, smutnie zamyślony.
95 Ujrzał nagle wzrokiem duszy,
Jak tuż przed nim przepaść zionie
Niezmierzona i bezdena,
I uczucie dawne szczęścia
W lot zniknęło w mroku chmury,

- 100 Która, nito się pajęcza,
Myśli jego omotała.
Wreszcie zaczął sam się pytać:
„Czem ty jesteś tu na puszczy
Dla narodu, dla ojczyzny?”
105 Dotąd żyłeś sam dla siebie,
Wprawdzie w ciszy, lecz bezczynnie.
A czyż życie to jest twojem
Tak wyłącznie, byś do woli
Mógł ukrywać je przed światem?
110 Byłeś tylko pniakiem suchym,
Który martwy drzemie w borze,
Latem tonąc w suchym liściu,
Zimą zagrzebany w śniegu!“

- Tu spojrzaniem długim spoczął
115 Na przybyszach, śpiących wkoło,
I tak dalej w cichym żalu
Sam przed sobą się spowiadał:
„Patrz! ci kraj swój porzucili,
Klasztor piękny, opatrzony
120 Mnóstwem wygod, w którym mogli
Służyć niebu wcale dobrze
Kwiatem i owocem życia.
A wybrali się w kraj obcy,
W te bezdrożne, czarne lasy,
125 Sami — obcy i szukają
I snąc znajdują, coś ty dawno
Dla narodu miał uczynić.
Są Niemcami, po łacinie
Chcą do braci twoich mówić,
130 Jedną dłonią chcą im podać
Światło wiary, ale drugą
Wyrwać ojców język święty.
W jednej niosą symbol krzyża,
W drugiej ukrywają kleszcze.
135 Biada, teraz już stanęli

- Na ojczyzny twojej progę,
Już do Pragi podążają.
Książę Oldrzych sam ich wezwał,
Ty zaś, któryś był powinien
140 Już oddawna przed swym ludem
Kroczyć, nito słup ognisty,
Od szeregu lat — nieznaany,
Skryty, trawisz płodny żywot!
Tak, Prokopie, zakopałeś
145 Grosz ci dany, toż się ocknij,
Wykop z ziemi go, zużytkuj,
Z cienia wystąp już na jaśnie,
Im się pracy po bezczynnie!
Broń języka swego ludu,
150 Niech wyznaje Boga swego
W swojej mowie. — wstań, idź śladem,
Który wskazał tobie Cyryl!“

Ale jak? Tu rada kusa.

- Znowu się zadumał Prokop,
155 Myślą przebiegł cały szereg
Szczęsnych lat, spędzonych tutaj
Zdala od całego świata.
I wnet uczuł pewność błogą,
Że napróżno nie żył tutaj.
160 Czuł że jego duch, któremu
Los nie szczędził burz pogromów,
Tu pokrzepił się i zmęźniał,
Że mu sił przybyło nowych,
Że w nim spotęźniała wola,
165 Że zażarty bój z przyrodą
Był dlań szkołą, jak na przyszłość
Winien iść w zapasy z ludźmi.
Wspomnił sobie też, jak wielkie
Apostoły i proroki,
170 Nim przed ludem wystąpiły,

- Sam na sam z myślami swemi
Długi czas szukały w puszczech
Sił, spokoju, utwierdzenia.
Znów na śpiących mnichów spojrzal
175 I nowemi wnet myślami
Zaroila mu się głowa.
Boś ty, myśli, wszechpotężna!
Ledwie twe nasienie padnie,
Już jest drzewem, a z gałęzi
180 Drzewa tego świegot ptaków
Wieści twe potężne przyjdzie.
Ani się opatrzył Prokop,
Jak ku obcym zawrzał gniewem;
Tylko prawa gościnności
185 W grocie jego ich chroniły.
Zerwał się na równe nogi,
Z czoła starł zadumy chmurę
I zwyciężkim, dźwięcznym głosem
Począł nucić ten potężny
190 Starodawny hymn praojców:
„Hospodine, pomiluj ny!“
Głos zaś jego, rówien burzy,
Znalazł oddźwięk w ścianach groty,
Które mu zawtórowały,
195 Zbudził wicher, śpiący w jarach,
Który rozkołysał bory,
I wnet pośród cichej nocą
Hymn rozbrzmiewał całą siłą,
Jakby wielki chorał duchów:
200 „Hospodine, pomiluj ny!“
Stare drzewa, co na łonie
Swojem kołysały gwiazdy,
Lipy, jodły, buki, brzozy,
Mech pod niemi, źródła z łęgów,
205 Nadto setki dziwnych głosów

Z krzów, kamieni, jaskiń, z gąszczy,
Trawy źdźbło i gałąź dębu —
Wszystko to zadrżało pieśnią,
Grzmiało, wrzało i wołało:

210 „Hospodine, pomiluj ny!”

Lasu szum, przeciągający
Ponad grota, jakby burza,
I donośny śpiew Prokopa
Przebudziły śpiących mnichów.

215 Jedni, krzyżem się żegnając,
Znów się pograżali we śnie,
Ale drudzy trwożnym wzrokiem
Rozglądali się po grocie.
Żar ogniska gasnącego

220 Rzucił długie, czarne pręgi
Po powale i po ścianach,
W blasku jego dostrzegali
Kłęczącego w kącie mnicha;
Głowę skłonił aż ku ziemi,

225 Ręce wznosił ku niebu w górę;
Czarne zaś, olbrzymie cienie
To sprawiały, że się zdawał
W nieskończoność rósć, rozpływać;
Przytem śpiewał tak donośnie,

230 Że wiatr leśny, dmąc mu wtórem,
Huczał nutą dzikiej pieśni
W obcej im, nieznaney mowie.
Nie wiedzieli, że on śpiewał
Ze wszech sił, gdy się zbudzili:

235 „Wypędź Niemców, cudzoziemców!”
Lecz uczuli, że im duszno,
Że w nich serce bić przestaje;
Szybko krzyżem się żegnali,
Poszeptując między sobą:

240 „Boże, wszak to czarnoksiężnik,
Książd pogański, dyablów sługa!”

I wnet znów strwożone twarze
Kryli w mchu wśród znaków krzyża.

Nastał wreszcie dzień. Olbrzymem
245 Powstał Prokop; silny duchem,
Jasno teraz cel swój widział.
Uśmiechnięty, jako słońce,
Gdy po burzy złoci chmury,
Podał mnichom miodu, mleka,
250 Wziął swą laskę i przepasan
Gości swoich przerażonych
Wyprowadził, nic nie rzekwszy,
Ze sazawskich, czarnych lasów.



X.

Klasztor.

- Hej, wy lasy, stare lasy!
 Gdzie są owe czasy dawne,
 Kiedy rankiem niespodzianie
 Ciszę waszą napół senną
- 5 Zmącał nagle wrzask nagonki,
 Rogów dźwięk i chartów wycie,
 Koni rżenie, jeźdźców śmiechy?
 Kiedy echo na szczyt skały
 Umykało w ciszę leśną,
- 10 Jako cietrzew wypłoszony,
 Bijąc skrzydłem w szale toku,
 Aż się w skałach pod głazami
 Zbudził wichur drzemający,
 Zbudził i swą brodą potrząsł,
- 15 Że aż drżały szczyty sosen,
 Brzóz gałęzie dębów, jodeł,
 Z przerażenia i podziwu
 I pytały szumem w chórze,
 Co się stało, co się dzieje?
- 20 Potem nad źwierzyny stosem
 W szarych buków chłodnym cieniu
 Wychylano pełne czasie
 Na pomyślność dzielnych łowców.
 Hej, wy lasy, stare lasy!
- 25 Bezwątpienia wspominiacie
 Owe stare, dawne czasy,

- Kiedy baśnie władły światem.
 Jeszcze stare wasze sosny
 I modrzewie zamysłone,
 30 Którym wiszą wasy z brody,
 Jakby starcom, jakby dziadom.
 Dobrych czasów tych wspomnieniem
 Szumią, szumią, prawią o nich
 Młodym wnukom na porębie
- 35 W długie noce, gdy swem srebrem
 Księżyc dotknie się ich koron
 I do dum je, marzeń zbudzi,
 Jak śpiew czyni z sercem ludzkim:
 Szumcie, szumcie, stare drzewa,
 40 Baśnią swą też w moje pieśni.

- Wrócił Prokop do jaskini,
 Pokazawszy mnichom drogę;
 Potem wesół, jak codziennie,
 Wziął siekierę do rąk, podniósł,
 45 Dąb nią zaczął ociosywać,
 Przędąc przytem nić bez końca
 Myśli różnych, postanowień,
 Które w noc mu wywołały
 Z serca głośny śpiew na usta.
- 50 Nagle dziwny, niezwyčajny
 Dźwięk się ozwał po dolinie,
 Przemknął po koronach dębów,
 Zbudził śpiące echo w skałach:
 To fanfara rogów leśnych!
- 55 Święty Prokop drgnął zdziwiony,
 Ustał nagle w swojej pracy,
 Nadstawiając pilnie ucha.
 Bory te dotychczas brzmiały
 Hymnem wichru, hukiem dębów,
 60 Które wiek ich sam obalał;
 Toteż dziwne im się zdały

- Rógów dźwięki, co streszczały
Łowów całą epopeję.
Róg wesoło, lekko zabrzmiał,
65 Śpiewał, grał i jasnym dźwiękiem
Przekomarzał się z łowcami;
Potem sypnął grad nót ostrych
Krótkich, groźnych, przeraźliwych:
To ryk zwierza spłoszonego,
70 Szczekot psów, bieg poprzez gąszcze,
Trzask gałęzi wrzawa łowców.
Tony rosły w całe morze,
Które coraz bliżej wrzało
Jednym wielkim, strasznym prądem;
75 Cały atak był w tej pieśni:
Krótka piosnka, a radosna,
Bo zwycięzka, długim echem
W skałach brzmi — zwierz dogoniony,
Osaczony, poraniony
80 I dobity — nowe dźwięki,
Czułe, tkliwe, rozręsknione,
Pełne skargi — coraz dalsze,
Z nimi łowy nikną w dali,
Jak na widnokregu burza.
- 85 Znów siekierę podniósł Prokop.
Znów brzmiał odgłos ciosów głuchych,
Monotonnych, w cichym borze.
Nagle w gąszczy ryk i szelest;
Do przedśionka zadyszana
90 Wbiega łania Prokopowa,
Pada do nóg pustelnika
I podnosi nań, drżąc całą,
Swoje wielkie jasne oczy.
Co za cud! na głowie łani
95 Błyszczy krzyż przedziwnym blaskiem —
Krzyż z promieni dziwnej krasy,

- W boku jej tkwi strzała ostra,
Z pod niej ciecze krew czerwona,
W rubinowe łyzy się ścina!
100 Przed jaskinią zabrzmiał teraz
Rógów dźwięk, a równocześnie
Wbiegł myśliwy śmiałym krokiem.
Smukły był i czarnowłosy,
Dumną twarz miał, ostre rysy;
105 Gdy rozejrzał się dokoła,
Łuk mu wypadł z rąk z podziwu:
„Ktoś ty, co tu żywiesz w puszczy?“

- „Czemuś zranił mi, Oldrzychu,
Moją łanię? Czyś nie widział,
110 Że sam Bóg ją napiętnował?“
Mówiąc tak, wydobył Prokop
Z rany grot i ją przeżegnał,
Ona zaś się wnet zgoiła;
Potem lśniący kark pogładził
115 Łani swej i ciągnął dalej:
„Człowiek grzeszny jestem, Prokop;
W puszczy tej, regule wierny
Benedykta, żyję dawno,
By królestwo Boże zyskać.
120 Witaj, książę, w tej jaskini,
Pan przez ciebie zdziała cuda!“

- „Co! przezemnie? Wielkim grzesznik!“
Książę Oldrzych odpowiedział,
„Gdybyś choć mię wypowiedział,
125 Mógłbym potem, ojcze, z tobą
Mówić śmielej znacznie o tem“.

Stało się po woli księcia.

- „Pragnę, ojcze!“ mówił Oldrzych,
„Płonę cały wskutek biegu,
130 Daj mi napić się, co pijasz“.

Prokop nabrał szybko wody,
Co tryskała z serca skały.
Jak najkosztowniejsze wino
Smakowała Oldrzychowi.

- 135 Potem siedli i gwarzyli.
Prokop wesół już spełnionem
Widział duszy swej marzenie,
Które w niej wzbudzili Niemcy;
Wierzył, że je w czyn zamieni.
- 140 Opowiedział Oldrzychowi,
Kreśląc śmiało żywym słowem,
Co za smutny los czekałby
Czeską ziemię, gdyby lud jej
Modlił się w języku obcym;
- 145 Prorokował, że te skały,
Lasy te i wadół cichy
Mogą być dla kraju centrem,
Skąd zbawienia prawdy zorza
Strumieniami się rozleje;
- 150 Błagał księcia i zaklinał,
By odesłał nazad mnichów,
Rękę Bożą mu wskazywał,
Co przywiodła go tu borem
Za pierzchliwej łani śladem
- 155 Właśnie dzisiaj, kiedy Niemcy
Już zbliżali się do Pragi.
Oldrzych słuchał go wzruszony,
Powstał i rzekł tak do niego:
„Zbierz więc rychło, sługo boży,
- 160 Grono braci bogobojnych,
Zgromadź wszystkich tu przy sobie!
Żyjcie spolem w tej tu puszczy,
Naucajcie lud po czesku,
Rad uczynię, co w mej mocy,
- 165 Ku czei Panny, Matki Bożej,
Dla miłości Pana Boga“.

Prokop wywiódł księcia z grotty,
Drogę z lasu mu pokazał,
Oraz miejsce, gdzie najlepiej
170 Byłoby zbudować klasztor.

- Nowe więc nastalo życie.
Po trzech dniach powrócił Oldrzych,
Już nie sam, lecz z swą drużyną,
Już nie sam, lecz z hufcem cieśli
- 175 Mieli z sobą swe narzędzia,
Poszli, gdzie ich Prokop zawiódł.
Cios wnet padł, zaczęta praca;
Gdy część lasu skarczowano,
Założono fundamenty.
- 180 Ożył bór rozmową ludzi,
Ruchem wozów terkotliwych,
Echem ciosów celnych siekier.
Wrzawą gońców, rykiem byków.

- Pracowano bez ustanku:
185 Ledwie dzień zaświtał w lesie,
Praca wre — i przy księżycu,
Kiedy świecił jasną pełnią;
Ściany z drzewa rosły szybko,
Kościół wnet wystrzelił w niebo,
- 190 Nizki klasztor go otoczył
W nim dwanaście cel szło rzędem,
Środek zaś refektarz zajął,
Wielka kuchnia i spiżarnia.
Księżę wrócił znów do Pragi,
- 195 A przygotowawszy wszystko
Na kościoła poświęcenie.
Zjechał z dwunastoma mnichy.
Ze wszech stron czeskiego kraju
Tłumy ludu się garnęły
- 200 Nad Sazawę, cudem prawie
Ożył las, niedawno pusty;

- Skąd się wzięły, trudno orzec,
Od północy, od zachodu,
Od Wełtawy i od Łaby
- 205 Nieznajomi się witali,
Nieznajomi się ściskali,
Bo odczuli wszyscy dobrze
Że znaleźli, czego długo
Brakło wszystkim, czego nawet
- 210 Złota Praga im nie dała,
Ni Wyszehrad szaromroczny.
- W mnichów koło, pod baldachim
Wstąpił strojny biskup Szebierz.
Ruszył z miejsca, orszak za nim:
- 215 Prasy księza w ciężkich kapach,
Prokop zaś z odkrytą głową
Boso szedł, złożywszy ręce, —
Tak, jak dotąd żył w jaskini;
Nie chciał wcale zmienić szaty.
- 220 Szedł poważnie wolnym krokiem.
Wzrostem przewyższając wszystkich;
Czarne zaś, a długie włosy,
Poprzez które już siwizna
Przebłyskała nicią srebrną,
- 225 Kędziorami mu sływały
Po ramionach aż do brody.
Oko mu pałało szczęściem;
Lud zaś cisnął się doń tłumnie,
Każdy tłoczył się ku niemu,
- 230 By się dotknąć szaty jego,
Lub choć ślady ucałować
Jego bosych nóg na piasku,
Aż zazdrośny biskup Szebierz
Na Prokopa się oburzał
- 235 Skrycie. Weszli do kościoła:
Po raz pierwszy czeska mowa
Wśród tych ścian się odezwała,

- Gdy z radością lud zanucił
Starodawne pieśni ojców,
240 Kiedy Prokop mszę odprawiał
Na słowiańską dawną modłę.
- Książę Oldrzych, biskup Szebierz,
Władcykowie i ziemianie
Umówili się tymczasem,
- 245 By z wyboru wyszedł Prokop
Bożej gminy tej opatem.
A gdy wyszli już z kościoła,
Wobec ludu biskup Szebierz
W ich imieniu doń przemówił;
- 250 Mnisi mu potakiwali,
Tłum zaś krzykiem im wtórował.
Ale Prokop skłonił głowę,
Chciał najniższym być wśród braci,
Prosił nawet, by samotnym
- 255 Zostawili go w jaskini
Z królikami i pszczołami,
Z łanią i z wszechmocnym Bogiem.
„Dobrze“ — odparł biskup Szebierz,
„Wzdrygasz się, więc wybierajmy!“
- 260 Już na ziemię padły kości.
- „Źle rzuciłeś“ — na to Prokop —
„Zawadziły dwie o siebie“
- „Więc na nowo!“ krzyknął Oldrzych.
Szebierz znowu rzucił kości.
- 265 „Nie śmie jeden rzucać ciągle“ —
Począł się wymawiać Prokop,
Widząc, że los jemu sprzyja.

„A więc sam już rzucę kości,
By położyć kres wymówkom“,
270 Rzecze Oldrzych uśmiechnięty.

Kostki padły, Prokop wybran. —

Znów opierał się, wypraszał,
Zaprzysięgał i zaklinał,
Lecz napróżno, bo w procesyi
275 Już go wiedą do klasztoru,
Który mu z zarządem całym
Książę Oldrzych miał przekazać.
Lud się tłoczył chmur nawałą,
Wnet się jednak cofnął nazad,
280 Z przerażoną twarzą stanął,
U klasztornej wielkiej bramy
I zdziwiony począł wołać:
„Kto otworzy nam doń bramę?“

Podszedł z tłumu książę Oldrzych,
285 Chwyta klamkę — lecz napróżno;
Silnie, jakby wrosły w ziemię,
Stoją wrota niewzruszone.

Podszedł z tłumu biskup Szebierz,
Chwyta klamkę — lecz napróżno;
290 Jakby zrosły się ze ziemią
Stoją wrota niewzruszone.

Podszedł z tłumu święty Prokop:
Jeszcze się nie dotknął klamki,
A już same się rozwarły
295 Obie poły wielkiej bramy
Aż na oścież z głośnym hukiem.

„Pan Bóg sam tu wybrał teraz!“
Szebierz rzekł, znak kreśląc krzyża;
Cały tłum z radości krzyknął, —
300 Opat Prokop wszedł do bramy.

XI.

Podział pracy.

„W imię Ojca, Syna, Ducha,“ —
Ozwał się do braci Prokop.
„Wybierając mię opatem,
Włożyliście ciężkie brzemie
5 Na me barki niestateczne.
Więc słuchajcie, co ja — Prokop,
Sługa boży, który w puszczy
Szukał Boga lat dwadzieścia,
Powiem wam w niniejszej chwili:
10 Lepiej idzie każda praca,
Gdy się imie jej rąk więcej;
Dziesięć siekier wnet dąb zwali,
Gdzież doń ręce bez siekiery?!
Nas trzynastu tu do pracy
15 Według wzoru apostołów.
Wielkie dzieło nas tu czeka:
Puszczę tę, tak pełną lasów
Nieprzebytych i bezdrożnych,
Gdzie na skale gniazdo sępie,
20 A pod skałą rys i niedźwiedz,
Wkrótce zmienić w raj musimy;
Z naszych dłoni ma rozkwitnąć
Kwiat, kłos strzelić, nasze dłonie
Muszą spętać bystry ruczaj,
25 Aby ludziom pomocnikiem
Odtąd był, a nie rywalem.
Oto praca dłoniom naszym;
Wyższy jednak cel ma słowo,

- Słowo prawdy i zbawienia,
30 Bożej łaski i pociechy,
Które musim głośić Czechem
W ojców ich języku świętym
Także w duszach ludu, które
Nieprzebyte, jak te lasy,
35 I jak owe — pełne zwierza,
Błędów, grzechów, złych nałogów,
Słowem trzeba wyczarować
Myśli kwiaty, płodne w czyny.
Wielkie więc jest dzieło nasze.
40 Toż się już rozdzielmy pracą,
Każdy weź do ręki topór
Dobrej woli, enej dążności,
A ten dąb się zwali rychłej,
Niżli gdyby tu w niezgodzie
45 Z innej strony poczał każdy
Rąbać walić, rznąć i siekać,
Boby kolos ten padając
Mógł obalić pracowników.
Wybraliście mię opatem,
50 Posłuchajcież, jak wydziela
Sobie część swych obowiązków.
Do roboty każdej pierwszy
Stanę zawsze, a ostatni
Schodzić będę z pola pracy;
55 Przed koguta pianiem pierwszy
Skoczę z łóżka i was wszystkich
Podług wieku pójdę budzić;
Nadzorować będę pracę.
Wszędzie pierwszy do modlitwy,
60 A ostatni do spoczynku.
Chcę przy stole też siadywać
Zawsze na ostatniem miejscu.
Bracia, jak do ojca dzieci,
Do mnie się przytulcie wszyscy;
65 Niech wśród was zagości szczerłość,

Miłość bratnia, pobłażliwość,
Przebaczenie i cierpliwość;
Mnie poprostu zwijcie ojcem!“

Radość braci nie zna granic,
70 Uściskali dłoń Prokopa,
Ten zaś dalej tak przemawiał:

- „Cztery wždy żywioly społem
Przędą wieczną szatę Bożą:
Woda, ziemia, wiatr i ogień.
75 Pierwsze dwa z nich człowiekowi
Pan Bóg dał, ażeby jemu
Pomagały i służyły
Ku żywota utrzymaniu,
Drugie dwa zaś zastrzegł sobie,
80 Wiatr aniołom dał i ptakom,
Aby między Nim a ludźmi
Pośredniczyć mogli. w ogień
Sam się tylko przyobleka,
Czyto słońcem grzeje ziemię,
85 Lub gwiazdami błogosławi,
Czyteż, owinięty chmurą,
Na błyskawic skrzydłach lata.
Zawsze bądź Mu wieczna chwała!
Dał nam w zarząd ziemię, wodę.
90 Więc przyłóżcie dłoń do serca,
A następnie do roboty!
Wszak dwunastu apostołów
Było tylko rybakami.
A zmienili ziemi postać.
95 Bóg ten sam jest teraz z nami.
Ziemia matką wszechrodzącą —
Dbajcież o nią, z nią współczujcie!
Jeśli łono jej zranicie,
Róbcie to li, aby kłosy
100 Zagoiły ranę złotem,

- Jeśli pień choć w świętych lasach
Obalicie, w szkółce swojej
Nowy wsadźcie! Bądźcie pewni:
Ziemia czuje, jak my ludzie.
- 105 W naszym ręku zaś spoczywa
Rozwój, rozkwit wszystkich rzeczy
Kiedym mieszkał w tej tu puszczy,
Byłem wszystkim sam: drwam rąbał,
Orał pole, łowił ryby
- 110 Teraz wybierz sobie pracę
Każdy według chęci, albo
Jaką się zajmował dawniej,
Nim klasztorne złożył śluby.
Kto za pługiem lubi chodzić
- 115 Po zagonie, gdzie rój ptaków
Świegocących go otacza,
Kto też lubi sierp i kosę,
Pełne wozy kłosów pełnych,
Chwyć za uzdę, a ochoczo,
- 120 Bądź rolnikiem, pracuj w Panu,
Jak ci serce nakazuje!
Kto zaś rad ma gęste lasy
I ich pieśni wielodźwięczne,
Wiatrów burzę na ich strunach,
- 125 Słońca złoto na ich liściach,
Rosy krople w mchu kobiercu:
Temu lasy przekazuję,
Niech dostarcza nam tu drzewa,
Potrzebnego na narzędzia,
- 130 Lecz zarazem sadi, szczepi,
Przedewszystkiem zaś niech strzeże,
A nie łowi płochych zwierząt!
Kto lubuje się w widoku
Rzeki, kiedy w słońcu drzemie
- 135 W czas południa w złotych parach,
Albo gdy, wspieniona burzą,
Bije w brzegi, przyczem wkolo

- Sieje garść klejnotów barwnych:
Niechaj kielza jej balwany,
140 Na ich karki uzdę rzuci, —
Niech się pienia, niech prychają,
Ty bądź przez nią przewoźnikiem,
Jako niegdyś święty Krzysztof:
Nocą chodź wzdłuż brzegów rzeki
- 145 Hukaj w dal, by cię posłyszał
Pielgrzym, co się zbłąka w lesie, —
Przewieź go na drugą stronę,
A gdy wicher miotać będzie
Twoją łódką, jak łupiną.
- 150 To podkasaj się, skocz w rzekę,
Chwyć na barki zbłąkanego,
Kijem swoim się podpieraj,
Pan zaś, który dał ci wolę,
Siły też ci nie odmówi!
- 155 W dzień łuszczysty ród wylawiaj
Z głębi, rozmyślając przytem
O swej duszy, którąś Panu
Winien w darze przedewszystkiem.“

Zgodni bracia pod tym względem,
160 Uściskali dłoń Prokopa,
Ten zaś dalej tak przemawiał:

- „Dwa żywioły, wiatr i ogień,
Zastrzegł sobie Bóg, w nich mieszka.
Z dwu zaś innych: z duszy, z ciała,
165 Stworzył Mistrz istotę ludzką
Cudnie; człowiek winien przeto
Dbać o oba w swej pielgrzymce;
Duszę krzepi rozmyślanie,
Ciało krzepi ciągła praca.
- 170 Ale często też oboje
Pragnie w znoju odpoczynku.
Co do duszy, to ją sami

- Aniołowie w szczęsną chwilę
Przejmą na swe białe skrzydła,
175 Ale ciało, gnuśna glina,
Jeść chce, pić chce, snu pożąda,
By w niem siła znów wzplonęła,
Jak knot lampy od oliwy.
Trzeba zatem dbać o kuchnię,
180 O piwnicę o spiżarnię,
By ubogim mogło starczyć
Zawsze dość ku nasyceniu.
W tem zajęciu, w rządzie domu,
Będą się więc mieniać bracia, —
185 Los rozstrzygać będzie o tem, —
Kto wybrany, ten cierpliwie
Niech się para tem przez tydzień!
Lecz do służby Bożej wszyscy
Pilnie będziem śpieszyć razem:
190 O północy zabrzmiał psalterz,
Skoro świt godzinki zacznem,
Przy obiedzie zaś w południe
Czytać będziem żywot świętych.
W imię Ojca, Syna, Ducha,
185 Już skończyłem, bracia moi;
Jeszcze raz powtarzam tylko:
Wszyscy wzajem się miłujcie!
Pobłażliwi bądźcie wzajem,
Miłość bowiem — to jest.. wszystko.
200 Więc szanujcie orną ziemię,
Pokochajcie każde zwierzę,
Pszczołę która miód wam zbiera,
Wołu, co na chleb pracuje,
Łanię, co wam mleka daje,
205 Wilka, co czuwania uczy,
I niedźwiedzia, co śmiech budzi,
Ale głównie pod gzymsami
Zabudowań pozwalajcie
Gniazda słać jaskółkom, bracia!“

- 210 Tu zamilknał święty Prokop.
Radość braci nie zna granic,
Posłuszeństwo mu ślubują,
Między siebie rozdzielają
215 Lasy, pola, wodę, klasztor,
I rozchodzą się do pracy.



XII.

Zapiski Raracha.

- Święto Maryi Magdaleny
 Obchodzone na Sazawie
 Uroczyscie, tłum pielgrzymów
 Z blizka, z dala, wciąż napływał.
- 5 Prokop sam chciał mszę odprawić,
 Brat zaś Cyryl, który słowem
 Swem, wymowy świętej pełnem,
 Serca żgał, jak żar węgielny,
 Do zebranych tu grzeszników
- 10 Miał przemawiać o pokucie,
 O niełatwej drodze do niej,
 Reszta mnichów usługiwać
 Miała znów przy służbie Bożej:
 Nosić świece gorejące.
- 15 Albo grać na chórze chramu,
 Albo wreszcie śpiewać głośno
 Starodawne pieśni ojców.
 Tego dnia się to zdarzyło,
 O czem tak legenda prawi.
- 20 Wczesnym rankiem po świtanie
 Prokop udał się do lasu,
 Aby umysł swój pokrzepić,
 Przytem skupić myśli rojne,
 Jak przystoi do mszy świętej.

- 25 Na pagórek wszedł niewielki,
 Spojrzał hen po okolicy,
 Skąd się walił już tłum ludu
 W barwnych strojach na Sazawę.
 Chciał już usiąść na kamieniu,
- 30 By, jak zwykle, tu pograżyc
 Myśl w kąpieli wonnej dumań.
 Gdy ździwiony ujrzał nagle,
 Że to miejsce zajął Rarach,
 Który oparł nogi swoje
- 35 O przeciwną skałę; w łapach
 Trzymał wielką skórę osłą,
 Oskrobaną, wygladzoną,
 Jakby ją z archiwum właśnie
 Wykradł, a podobną do tych,
- 40 Których Jimram brat używał,
 Gdy kopiował Pismo święte
 Zdobnem pismem, barwne brzegi
 Okraszając piękną minią.
 W białą skórę ową Rarach
 Wbijał zęby z całej siły,
 Potem łapą ją naciągał
 I wyciągał i rozciągał
 Na wsze strony, co sił starczy;
 Na Prokopa ani spojrział,
 50 Lecz uśmiechał się złośliwie.

„Co tu robisz, piekła płodzie, —
 Mówże, czy mnie nie poznajesz?“

- „Co? ja ciebie, sługo boży?!
 Wszak się nie zgoiły jeszcze
 55 Moje rany z owej orki!
 Co tu robisz? Toż widziałeś;
 Kto domysłny, ładnie zgadnie.
 Święto dzisiaj na Sazawie
 Mnóstwo ludu tam się zejdzie:

60 W mętnej wodzie ryby łowią“.

„Na cóż skóra?“ Prokop spytał.

„Chodźno ze mną słuگو boży!

Nie wiesz, że już czas powracać?

Już ostatni pielgrzym przybył,

65 Wszyscy cię czekają w chrampie:

Już na chórze tam brat Andrzej

Siedzi, jak nadęty gołąb, —

Cud zaprawdę, że od śpiewu

Nie dostanie wolu, pewny,

70 Że anieli wobec niego

Marne tylko kołędniki; —

A brat Radzim znów w zakrystyi

Pyszni się ornatem nowym,

Chodząc tam i sam, jak indyk,

75 Inni mu zazdroszczą tego;

Tożto piękną trzódkę, ojcze

Zgromadziłeś w swym klasztorze!

No, a stary wyga ten, brat Jimram!

By niechodźić do roboty,

80 Zginać karku, kopać w znoju,

Grać, ryc, obalać dębów,

Przesiaduje w bibliotece,

Psuje stare pergaminy,

W głoski ich maluje ciągle

85 Szereg figur karłowatych,

Cały dzień R jedno bazgrze,

Wzdycha przytem, to rękawem

Powalany pot znów ściera

Z przemądrego czoła swego,

90 W głębi duszy zaś się śmieje

Z tych, co w lasach są zajęci,

Lub na polach gdzieś się znoją.

A brat Wit — co? nie znasz jego!

Rzecz z twarzą, pełną smutku:

95 „Idę w las, kochany ojcze,
Szukać idę ziół cudownych;
Klasztor pełnusieńki chorych,
A mnie braknie maści dla nich“. —
Idzie więc i rwie — jagody,

100 Pije wody ze źródelka,
Potem kładzie się pod drzewem,
Snem zasypia sprawiedliwych,
Aż mu słońce na południe

Spłoszy samo z sennej twarzy

105 Gęsty zawój chłodnych cieni;

Budzi się, przeciera oczy,

Zrywa się, do domu pędzi,

A po drodze skubnie sobie

W lewo, w prawo, trochę trawy,

110 Liści babki lub łopianu,

Jeśli mu aż pod nos wleżą,

Wraca cały zadyszany

I wam prawi o widzeniach

W głębi lasu, o modlitwach,

115 Lub o poście w puszczy leśnej;

Ani się domyśla nawet,

Że ma usta powalane

Borówkami aż na czarno.

A brat Krzysztof — to dopiero...“

120 „Przestań już obmawiać wszystkich“, —

Przerwał mu gawędę Prokop

I ku drodze zwrócił kroki,

Co przez las z powrotem wiodła —,

„Chodź, a ja ci też po drodze

125 Powiem wiele pięknych rzeczy:

Z ciebie tylko złość przemawia,

Zawiść, wściekłość, że ci bracia

Mądrzy są, przezorni, wierni,

Że drwią sobie z twych podstępów.

130 Wiemci dobrze, że brat Andrzej

- Strzygł niedawno owce w polu,
Przyśpiewując sobie psalmy.
Tyś się ukrył za nim w krzakach
I, zaledwie garstka wełny
135 Spadła mu z pod nożyc, zanim
Zdołał ją odłożyć na bok,
Tyś już zadał z całej siły
Niespostrzeżon — wełna znikła
Jako śnieg, igraszka wiatrów.
140 Dalej strzygł poczciwy Andrzej,
Ale wnet się żegnał z wełną,
Wymykała się z pod nożyc,
Jakby perz, lub jak kurzawa.
Więc nożycę żegnał krzyżem,
145 Żegnał owcę — wciąż napróżno;
Ale tyś, złośliwy biesie,
Nie wytrzymał, wybuchnąłeś
Głośnym śmiechem, ten cię zdradził.
Skoczył Andrzej, porwał ciebie,
150 Związał wreszcie, jak tę owcę,
I położył na kolanach
I do naga, aż do skóry,
Ostrzygł ciebie bez litości,
Potem puścił cię śród śmiechu
155 A tyś kurczył się od zimna:
Gniewasz się więc na Andrzeja, —
Każda rzecz ma swą przyczynę“.

- Doszli tak aż do ruczaju.
Który szemrał po kamieniach;
160 Wążka kładka przesklepiała
Jego fale, ledwie człowiek
Mógł przejść po niej bez obawy.
Rarach skoczył szybko przodem,
A minawszy, strącił kładkę
165 Swem kopytem poza siebie,
Tak że z wodą popłynęła.

- Prokop stał na drugim brzegu,
Ani nawet brwi nie zmarszczył,
Tylko skinał zwolna ręką:
170 Mały dębczak, co na brzegu
Źródła sterczał, wnet się schylił
I przez strumień się wyciągnął.
Prokop przeszedł suchą nogą;
Własnoręcznie podniósł dębczak,
175 Rzekł: „Lat pięćset rośnij za to!“
I spokojnie poszedł dalej.
Dogoniwszy zaś Raracha,
Tak prowadził rzecz zaczęta:
„Ze brat Radzim nie na rękę
180 Tobie także, to rozumiem
Wszak kucharzył w tym tygodniu;
Musiał nucić antyfony
I godzinki, zaprzągl ciebie
I tyś musiał przez dzień cały
185 Rożen mu obracać w kuchni,
A w twej głowie wciąż się legły
Myśli psotne, niepocziwe
I złośliwe, jak czerw w gnoju.
Gdy już kurczę upieczone
190 Lśniło się, jak złoto, całe,
Nie oparłeś się, lecz zdjąłeś,
Jeść zacząłeś, uciec chciałeś;
Jeszcześ oblizywał palce,
Gdy do kuchni wpadł znienacka
195 Sam brat Radzim zaperzony,
Rzutem oka pojął wszystko;
W świętym gniewie chwycił rożen,
Wbił ci go od tylnej strony —
Dajno pokój, nie przecz głową
200 Wszystko, wszystko mi wiadomo!
Ale teraz powiedz przecie,
Co zamysłasz z ową skórą!

- Rarach się uśmiechnął na to:
„Wszak idziemy do kościoła!
205 Sam wiesz, że dziś tłumy ludzi
Zeszły się tu na Sazawie:
Muszę łowić więc ich grzechy.
Toteż wczoraj przewidując
210 Z ruchu łyżek oraz nożów,
Że nazajutrz jest dzień Boży,
Skradłem bratu Jimramowi
Kawał starej skóry ośleję,
Nauczywszy się od niego
215 Cnego kunsztu pisarskiego
Skrity w chramie będę sobie
Zapisywał wszelakimi
Wykrętasy grzechy ludzkie.
Których wżdy najwięcej bywa
220 Po kościołach przy mszy świętej.
Sługo boży, dziś uważaj
I pamiętaj, że czart nie śpi!“
Prokop się uśmiechnął z lekka,
A wtem weszli do klasztoru,
225 Gdzie już bracia go czekali.
Prokop wstąpił do zakrystyi,
Rarach do Kościoła, zręcznie
Wlaził na chór i tam pod stropem
Między belki wtulił głowę,
230 Na kolanach złożył skórę.

Dzwon zadźwięczał, msza zaczęta.

- Zrazu każdy składał dłonie,
Na kolanach klęczał zbożnie,
I odmawiał swe modlitwy,
235 Albo śpiewał razem z chórem;
Gdy zaś Cyryl począł mówić,
Toż dopiero słuchał bacznie,
Aby ani słówka nawet

- Nie uronić, by mózż w domu
240 Wszytko to powtórzyć wiernie.
Południowy jednak upał
Wnet unużył tak słuchaczy,
Że niejeden począł drzemać,
Głową pokiwując w takcie.
245 Teraz Rarach miał dość pracy.
Gapić począł się lud wiejski,
Dostał znak na pergaminie,
Stara baba trzęsła głowę,
Prawie na głos pochrapując —
250 Naści punkt na ośleję skórze!
Mnich niejeden także zgrzeszył:
Ot! brat Radzim, który trzymał
Świecę gorejącą w ręce,
Zaklął z cicha, bo gorąca
255 Łza woskowa mu kapnęła
Na ściśnięte nagie palce
Już miał punkt na ośleję skórze;
A brat Szczepan który śpiewał
Epistolę u ołtarza,
260 Wprost zapomniał, co za dzień dziś,
Śpiewał inną; Prokop musiał
Zmierzyć go surowym wzrokiem,
By co rychlej błąd poprawił —
Ale punkt już był na skórze.
265 Tam zaś znów co za zgorzenie
Za kaplicy szarej ścianą!
Młodzik jakiś tak się schylił
Nad modlącą się dziewczyną,
Że ich usta się zbliżyły
270 I całusa słodki odgłos
Po kościele wraz się ozwał.
Rarach śmiał się pełnem gardłem,
Chciał oboje mieć na skórze,
Lecz niestety — brakło miejsca,

- 275 Obie strony były morzem
Kropek, punktów, wykrętasów,
Ani trochę miejsca nigdzie;
Radby zmazać innych setkę,
Byle dwoje tych zapisać.
- 280 Marny trud! Wtem zmarszczył czoło,
Ujął skórę silnie w zęby,
O kolano oparł ręce,
Byle ją wyciągnąć trochę;
Ruszył sobą z całej siły —
- 285 Buch! i w trop uderzył głową,
Omal że zamroczon nie spadł.
W tejże chwili święty Prokop
Od ołtarza się odwrócił,
By zanucić dzwiecznym głosem:
- 290 „Bracia, módlmy się! Lecz przytem
Utkwił wzrok pod strop kościoła,
Spostrzegł, jak ów ciągnął skórę,
Jak się zranił, jak się zachwiał,
I to tak go ubawiło
- 295 Że nie wstrzymał się od śmiechu.
Ale czart już oprzytomniał
I, nim Prokop się odwrócił,
Miał już wrytą w pergaminie
Winę swoją, a to w kształcie
- 300 Wielkiej kreski krzyżem na dół.
Obojętne teraz Rarach
Złożył ręce na kolanach;
Nie zajmował się już ludem,
Niech śpi sobie, albo śpiewa:
- 305 Jemu wystarczyło całkiem
To, że opat sam wpadł w sieci
Jego zdrady i podstępów;
Nawet zdolnym był odpuścić
Wszystkim kropki, znaki, kreski,
- 310 Za Prokopa przewinienie.

- Z wrzaskiem lud z kościoła płynął,
Na wsze strony się rozbiegał,
Mnisi wychodzili z chramu,
A za nimi święty Prokop.
- 315 Rarach podbiegł wnet ku niemu
I rozwinął ośłą skórę
Uśmiechnięty: „Sługo boży,
Czy pamiętasz, com rzekł tobie:
Bacność dziś, czart nigdy nie śpi!“



XIII.

Złoty ptak.

(Legenda brata Wita).

Na śmiertelnej już pościeli
Leżał brat Wit. wkoło niego
Mnisi modląc się klęczeli.
Z gorejącą świecą w ręku
5 Stał na progu innych światów,
Usta bladły mu, wzrok gasnął.
Nagle podniósł się, mdłym głosem
Do Prokopa rzekł i braci:

„Przebacz, ojcze, mi — wy drudzy
10 Mieście też nademną litość,
Gdy was błagam w imię Boże;
Posłuchajcie mej spowiedzi,
Którą chcę wszem wobec złożyć.
Otom dawał wam zgorszenie,
15 W służbie Bożej był leniwy,
Zmarnowałem całe życie,
Miast zbawienia własnej duszy,
Bardzo grzesznej i mizernej,
Jam ludzkiego szczęścia szukał.
20 Wielu mię widziało często,
Jak schyliwszy głowę chodzę,
Niby w myślach pograżony,
Widywali i mawiali:
„Wit się modli“, ruchem ręki

25 Rozkazując innym milczeć.
Ja tymczasem się nurzałem
Gdzieś w bezbożnych, głupich marzeń
Toni, rozmyślając o tem,
Gdzie jest, czem jest ludzkie szczęście.

30 Mój opacie i wy, bracia!
Umierając grzech swój czuję;
Posłuchajcie, co niedawno
W głębi lasu mię spotkało.
Nie wiem, czy to niebios łaska,
35 Czy szyderstwo tylko piekła,
Czyteż prawda, której marnie
Tyle lat szukałem w puszczy?

Gdy przecucie ledwie wiosny
Przeleciało nad drzewami,
40 Przebudzony snem niezwykłym
W las wyszedłem za klasztorem.
Świt różowił się na wschodzie,
W jego ogniu pnie błyszczały,
Jak czerwone, wielkie słupy,
45 W trawie rosa się perliła.
Wszystkie kwiaty wzdłuż ścieżyny
Tehnęły we mnie swoją duszę,
Słodką woń. odwieczne skały
Nagie skronie swe surowe
50 Skryły w zawój par różowych;
W dali brzmiała pieśń potoku,
Słucham — każda fala mówi
Drugiej fali: „Naprzód, naprzód!“
Przystanąłem, schyłam głowę:
55 Boże, jakże cudny świat ten!
Wtem piszczałka leśna nagle
Miłym dźwiękiem się ozwała.
To grał pastuch, wierne stado
Na pastwisko nowe wabiąc;

- 60 W głębi jaru go widziałem,
Jak wzdłuż skały pędził owce.
Szedłem gąszczą, znowu śpiewka
Poruszyła serce moje;
Dziewczę młode na jagody
65 Z malowanym wyszło dzbanem,
Widzę je, jak mknie gęstwiną,
A na głowie drobnej chustkę
Ma czerwoną, jak kwiat maku
Szedłem dalej, dusza moja
70 Coraz bardziej rozchylała
Tęsknot swych bezdenny kielich
Słońce mi świeciło w serce,
Czułem, jak lód jego taje. —
Czucia stokroć, podnosząca
75 Krwią dokoła pokropiony
I zroszony okraj kwiatu.
W oczach łzy mi się kręciły:
Boże, jakże cudny świat ten!
Ale gdzież to szczęście nasze?
80 Gdzie jest, czem jest, gdzie doń droga?

- Wznoszę głowę. Na gałęzi
Kalinowej, przyodzianej
W śnieżną szatę jak dziewica,
Siedział ptaszek mały, wąty;
85 Barwne piórka szmaragdowe
Lśniły na nim złotym blaskiem;
Pod gardziółkiem, niby rubin,
Płat ognisty się czerwienił,
A na głowie mały czubek
90 Płonął z najczystszo złotą,
Dzióbek miał różowy, drobny,
Cienki, ni to kolec róży.
Siedział cicho na gałęzi,
We mnie się wpatrując ciągle,
95 Z oczu jego ogień tryskał;

- Zdało mi się, że to gwiazdy.
W ptasi leb wprawione sztuką.
Nagle bracia (śnać to złuda
Duszę mą w swą sieć złowia)
100 Usłyszałem złote słowa, —
A w nich drgały słodkie dźwięki
Tej pasterskiej fletni leśnej,
A w nich drgały proste tony
Śpiewki prostej tej dziewczyny,
105 Która z rana na jagody
Z malowanym wyszła dzbanem:
„Mnichu, jam jest ptaszę szczęścia,
Pójdź, zobaczysz, gdzie go szukać!
Tam, gdzie stanę, tam jest iście, —
110 Droga to jest długa, mnichu,
Długa, jak twój żywot cały;
Ujrysz je, nie zaznasz jednak
I z tęsknoty po niem umrzesz“.

- Jakby upojony winem,
115 Wonią, snem, muzyką, — szedłem,
Gdzie zabłysło złote skrzydło
Niebiańskiego ptaka szczęścia.
Szliliśmy długo ciemnym borem,
Który gęstniał coraz bardziej,
120 Oraz dziczał, pełnym bagien,
Nad któremi białą głowę
Lilia wodna kołysała;
Drzewa były niby słupy,
Czarne słupy bazaltowe,
125 Niewzruszenie stały wkoło;
Tylko motyl pomknął czasem
Ponad kwieciem, a gdym spojrział,
Miał na głowie trupią czaszkę.
Upał wionął z drzew tych koron
130 Nieruchomych, jak chmur brzemień;
Skały rosły a ich ściany

- Nagle się zmieniły w twarze;
Gałąź, z piersi im rosnąca,
W dal się ciągnęła, nito ręce,
135 W dole zaś korzeni węzły
Kłębem węży pełzających
Memu oku się wydały.
Ptak ulatał coraz dalej,
Jako gwiazda spadająca;
140 Mignął zawsze przed mym wzrokiem,
Już myślałem, że gdzieś przepadł,
A on nagle na kędziorach
Dziwnych drzew, nieznanych wcale,
Błyszczał znowu, nito rubin.
145 Wodospady się staczały
Po kamiennych stopniach w przepaść;
Ptak, zmoczywszy skrzydło w falach,
Cały deszcz kamieni drogich
Strząsał z siebie naokoło.
150 Wtem utonął w ciemnej grocie,
Która pod sklepieniem skalnym
Ziała ku mnie paszczą smoczą.
Za nim! serce me wołało.
Długo szedłem tam w ciemności,
155 Ptak przedemną jak kaganek
Krwawy, niesion obcą ręką,
Słabo mi oświecał drogę.
Szedłem szybko strach zaś często
Oczy mi zamykał szczelnie.
160 Punktik, który wiódł mię, urósł,
Był jak słońce — Boże wieczny!
W wielkiej grocie już stanąłem:
Tysiąc słupów kryształowych
Na dół się zwieszało z stropu,
165 To olbrzymiem winogronem,
To odwrotną piramidą,
Lub jak praląs skamieniały.
Nie wiem, skąd ten blask słoneczny

- Wnikał w te lodowe tonie,
170 Ale wiem, że tęczę szeregi
Po sklepieniu się sunęły;
Nie wiem, skąd ściekała woda
W kryształowe to jezioro,
Ale wiem, że odgłos kropel,
175 Padających i marznących,
Bił o strop muzyką cudną.
Co tu cudów! co tu piękna!
Szedłem, jak marzeniem spity.
Ptak przedemną świecił gwiazdą.
180 Tęczę grały mu na skrzydłach.
Teraz mignął złotą strzałą,
Znowu w ton, musiałem za nim,
Coraz głębiej zstępowałem
W mroku, wkoło wodospady
185 Z nocy w noc się łały z hukiem,
Łuki ich widziałem wielkie,
Srebrnolite, spływające
Jeszcze głębiej — do dna ziemi.
Ptak się wzniósł znienacka w górę,
190 Wzrok mój za nim — Boże wieczny!
Zobaczyłem z głębi gwiazdy.
Niebo czarne jak dach domu,
A po jego niewzruszonej
I spokojnej strasznie równi
195 Mkną powoli złote światy,
Jakby gdzieś olbrzymie koło,
Słońc, księżyców i systemów
Toczył Cherub niewidzialny.
Straszny widok i potężny!
200 Mknęły, przeszły, po nich inne,
Wciąż bez końca, coraz dalej,
Legijony, milijony.
Gdy spojrzałem w ich oblicza,
Skałym widział, z których złoto
205 Ciekło rzeką, puste brzegi,

- Rafy skalne bez skry życia,
Jakby ktoś na drut wieczności
Sta szkieletów ponawieszał
Obok siebie w jednym rzędzie;
210 Znowu inne, pełne ognia,
Aż musiałem wzrok odwrócić.
Twarz zakryłem, lkając na głos:
Straszne są twe cuda Boże!
Ale gdzież jest szczęście nasze,
215 Czem jest, gdzie jest, gdzie doń droga?
Ptak znów mignął złotem skrzydłem,
Więc ruszyłem dalej w drogę
Przez kamienie, nito fale
Oceanu, które w biegu
216 Skamieniały i stężały.
Ani wąty kłosek trawy
Nie wystrzelał z łona ziemi,
Ani mech swą szarą pleśnią
Nie okrywał skał lysziny:
225 Wszędzie pusto, skały rosły,
Pośród nich gdzieniegdzie białe
Niepowszedniej miary szkielet,
Nie wiem — zwierza czy olbrzymia.
Snać tu kwitło niegdyś życie
230 Chciałem usiąść na kamieniu,
Ale ptak poleciał dalej.
Wnet zaczęła się znów trawa,
Znowu krzewy, znowu drzewa;
Radość w serce me wstąpiła.
235 Szliśmy znowu znanym borem
I stanęli, skąd wyszedłem.
Słońce było na zachodzie,
Zorza obrębiała drzewa,
Cienie rosły, rosa lśniła
240 Nogi mię bolały strasznie,
Gardło wyschło mi z pragnienia,
A jam pytał, jak i przedtem :

- Wielkim jest Twój świat, o Boże,
Nieobjętym, nie ma końca,
245 Ale gdzie jest szczęście nasze?
Jeszcze krok — i jam je ujrzał.
Przy kapliczce Matki Boskiej,
Którą róży krzak oplata
Milionami wonnych kwiatów,
250 Na pagórku śród murawy
Siedział pastuch, (jego fletnia
Rano wiodła mię w podróży),
Na swem łonie trzymał dziewczę,
Które z rana na jagody
255 Z malowanym wyszło dzbanem:
Fletnia w trawie porzucona,
Dzbanek w trawie przewrócony,
Ale ręce się ściskają,
Ale usta z sobą gwarzą.
260 Tak siedzieli sami, cicho,
Ona kładła młodą głowę
Na potężne jego piersi,
Gęste zaś jej włosy na nich
Złotym lnem się roztoczyły.
265 Chustka dawno spadła z głowy,
Krzaczek z każdym wiatru wiewem
Róże strząsał im na łono,
Niebo było jasne, czyste.
Wtem ujrzałem swego ptaka:
270 Nad ich głową się zatrzymał,
Począł śpiewać pieśń wesołą,
Potem wzleciał — wyżej, wyżej,
Aż się gwiazdą stał na niebie.
Już wiedziałem, czem jest szczęście,
275 Gdzie jest, gdzie doń wiedzie droga.
Po złożonych dłoniach moich
Łzy spływały z żarem ognia.
Czułem, że już jest zapóźno,
Ale usta me szeptały:

280 Pięknym jest Twój świat, mój Boże,
Wielkim jest i nieskończonym,
Lecz nad wszystkiem górą miłość.
Dzięki Ci, żem ją zobaczył.

Właśnie na godzinkim wrócił.

285 Od tej chwili niezmężona
Piers przygniotła mi tęsknota.
Snać grzeszyłem, lecz i ginąc
Mogę ją li błogosławić!

To legenda brata Wita.

290 Odrętwieli i ździwieni
Mnisi wkoło jej słuchali
Opat Prokop kazał potem
Martwe zwłoki tam pogrzebać
Pod krzem róży przy kaplicy,
295 Gdzie Wit widział ludzkie szczęście.



XIV.

Noc majowa.

Pierwszy maj swym dziwnym czarem
Owiał już szawskie zbocza,
Musnął lasy, musnął fale,
Zbudził złotych baż śnieżycą,
5 W krzaki bzu zastukał lekko.
Czy nie myślą już rozkwitać,
Zajrzał do gniazd zięb ciekawie,
Czy nie myślą się rozśpiewać,
Wiatr wilgotny drgnął rozkosznie
10 Przy całusie Wiosny-śmieszki,
Trafił w serce stare dzwony
Sazawskiego monasteru,
Tak że w rój wieczornych marzeń
Wplotły cudną swą melodyę,
15 Jakby cała nowa wiosna
Z lasem, łągiem, wodą, ptactwem,
Grała im w spiżowym sercu.

Dziwny ruch i dziwne drżenie!
Z niem z powietrza przeszło w serce
20 Coś, jak żądza życia! życia!
Szału przy wiosennych sokach,
Wzlotu w górę i rozmachu
I pogoni z całej siły
Ku przemianie, odnowieniu!
25 Wieczór ostatniego kwietnia
Zawisł skrzydłem nietoperza

- Nad klasztorem. Po niesporach
Z mnichy swymi w refektarzu,
Drzewem pięknie wykładanym,
30 Siedział za podłużnym stołem
Prokop zwykłym trybem braci.
Lecz weselej, niżli zwykle,
Toczył się rozmowy potok,
Czasze też słodkiego miodu
35 Wypróżniały się dziś rychlej;
Ani się spojrzeli mnisi,
Gdy ktoś wspomniał, że tej nocy
Lud co roku zwykł obchodzić
Stary obrzęd, bo pogański:
40 Spala żywcem czarownice.
Drugi znów nadmienił na to,
Jako dyabeł — czarny kocur,
Albo prosię szczeciniaste —
Wodzi rej w czarownic płasach,
45 W czarnym borze na wyrębie
Przewodnicząc ich biesiadzie,
Nawet w pełnym majestacie
Jako strzelec chodzi w lesie,
Chwyta słabe córki Ewy
50 W straszną sieć miłości grzesznej.
Trzeci bąknął, że na skale
Paproć żywym złotem płonie.
Inny wiedział, że w pół nocy
Nagle wraz się otwierają
55 Wszystkie skarby, w łonie ziemi
Zagrzebane, zakopane
I od wieków tam drzemiące,
Wraz zapłoną modrym blaskiem,
A kto siłę ma ich szukać
60 I odwagę po nie sięgnąć,
Ten do celu dojdzie łatwo.
Inny znów, najmłodszy z braci,
Twierdził z całą stanowczością,

- Jako w nocy tej hasają
65 Czarownice na swych miotłach;
Tak mu bowiem dziadek mówił,
Co przypadkiem — dawno temu —
Znalazł się w czarownic gronie
Pośród pustych skał, śród lasów.
70 Na ogniskach się rozbiorą,
Rozpuszczają długie włosy,
Dziwną maścią się smarują
I kominem wylatują
Li w koszuli, osiodławszy
75 Miotłę sobie zamiast konia.
Tak gwarzono popijając,
Nieraz mądre padło słowo,
Ale w wielu oczach Prokop
Spostrzegł błysk, co go przerażał.
80 Widział, jak niejedna ręka
Jakby w febrze się zatrzęsła
I jak wszystkich zajmowały
Te dziwaczne opowieści,
Czuł, że jeszcze jest w ich duszach
85 Dosyć gruntu dla przesądów,
Dla pogańskich praktyk dziadów.

- „Stare bajki starych czasów!”,
Rzekł spokojnie brat Benedykt.
„Resztki to pogańskich guseł!”
90 Flegmatycznie rzekł brat Jimram.
Ale Prokop zauważył,
Jak pod stołem pokryjomu
Obaj sobie znak dawali.
Brat zaś Jan wciąż milczał tylko,
95 Skroń i wzrok nad czaszą schylał,
Ale Prokop dobrze widział
W oku jego dziki płomień,
A na twarzy straszną bladeść,
Która miała być li maską

100 Niepokoju w duszy jego.

W tem klasztorny zabrzmiał dzwonek.

Prokop witał go z radością.

Szybko wstał i rzekł do braci:

„Ludzkie słowa, piana, dymy,

105 Odgłos wichru, brednie głupie,

W lot się rodzą, w lot też giną,

Wiecznem tylko Boże słowo.

Chodźmy spać już!“ — Na to razem

Wszyscy wstali, złożą ręce:

110 „Błogosławmy Panu!“ brzmiało

Pod sklepieniem refektarza

Głośnym chórem, jak zwyczajnie.

Zgasły światła. Każdy cicho

Udał się do swojej celi.

115 Święty Prokop szedł ostatnim,

Szedł poważnie, zadumany,

Czuł, że brednie o tej nocy

Niestosowne były wcale;

Wiedział, że w tym ludzie jeszcze

120 Tkwi pogańskie stare jądro

Dawnych guseł i obrzędów,

Zielsko gęste tak, że w jedną

Noc niemożna go wypełnić.

Widział też wzruszenie braci;

125 Choć tłumione przepisami,

Przebłyskało żarem w oku.

Jakby wróżba pewna burzy.

Dziś niechętnie szedł do celi.

Długo klęczał wśród modlitwy

130 Na klęczniku. Chciał już powstać,

Gdy przez wązkie okno celi,

Poprzez szyby ośmiokątne,

Obreźbione w ołów, błysło

Coś, jak iskra spadająca,

135 Coś, jak ogon przy komicie.

Krwawa linia ponad lasy

Migła się po czarnem niebie,

Za nią druga, trzecia, czwarta,

Smolnych wieńców lzy czerwone

140 Opadały w grzywę borów,

Jako gwiazdy, gdy się czyszcza

W cichą, jasną noc jesienną.

Prokop zbliżył się do okna, —
Okolica cała w ogniu,

145 Każdy wzgórek, każda skała

Niby ołtarz w ogniu płonie,

Deszczem iskier się oblewa!

Łukiem śmiałym lecą w górę

Kolosalne jakieś ptaki,

150 Ręką — której nikt nie widział —

Hen ciskane aż pod błękit

Wonnej, ciemnej wiosną nocy.

Między ognia płomieniami

Migotały czarne cienie;

155 Rozeznawał święty opat

Cienie kobiet, cienie mężczyzn,

Słyszał zdala chichot, szepty

Głuche głosów przytłumionych

I krakanie gdzieś z jaskini

160 Wypłoszonych ptaków nocnych,

Szelest liści, trzask gałęzi

Pod nogami pierzchających,

Syk pomiotel, spadających

I gasnących gdzieś w moczarach,

165 Odgłos kroków, cwału tętent.

Coś za serce go ścisnęło;

W cieniach bowiem, które widział,

Jak migaly całe w oknach,

Rozeznawał najwidoczniej

- 170 Mnisie szaty i kapice,
Oraz słyszał znane głosy
Pierzchających, wreszcie słyszał
Cichy zgrzyt wrót ogrodowych.
175 Wyszedł w cieniu owej nocy,
Boże ratuj jego duszę!

- Z trzaskiem okno swe otworzył,
Wchłaniał cheiwie wietrzyk wonny
I wilgotny nocy czarów.
180 Boże! Zdala słyszał dźwięki,
Niby skrzypiec ton płaczliwy,
Roztęskniony i marzący,
I bezwstydnny wrzask cyrabałów,
Śmiech piekielny kozich miechów.
185 Krzyk i wrzaski oddawały
Skoro zbocza zadumane.
Tętent, ruch — wzrok pod niósł w górę
Ujrzał, jak rząd nowy mioteł
Barwił niebo piekielną luną,
190 W dal przeleciał jak komety,
I utonął w czarnych borach.
Uczuł wilgoć, rosę ziemi
Zdrową, ciepłą, jak dech matki,
Czuł, jak z wszystkich por nań zionie
195 Dusza jej, materji dusza,
Ta odwieczna żywa siła.
Co w całusie tkwi człowieczym
I dowodzi uściskami
Wiecznej prawdy wszego życia,
200 Owo wieczne alleluja
Wielkiej duszy wszechświatowej!

I ten dech wiosennej nocy
I te dźwięki grajków zdala
I te ognie na pagórkach

- 205 I te wieńce latające
Uznał za zuchwały opór
Przeciw prawom moralności,
Bunt materji przeciw duszy,
Tryumf nad ciał umęczaniem,
210 Nad psalterzem, nad różańcem,
Nad dzwonami, kadzielnicą.
„Trzeba zgnieść materję“, orzekł,
„Bo jest tylko maską dyabła
Trzeba psalmów, zbożnych pieśni
215 Uroczystem powtarzaniem
Wciąż przygłuszać głos materji!“

- I, co myślał, też wykonał.
Nagle rozbrzmiał korytarzem
Uroczysty odgłos dzwonka.
220 Wstawać! Na godzinki bracia!
Oświecone okna chramu
Muszą zaćmić nocne ognie
Tych pogańskich zabobonów,
A organów dźwięk donośny,
225 Psalmów huczne wodospady
Muszą zgłuszyć te wesole
Wściekłych biesów dzikie wrzaski;
Modły wreszcie tych, co wierzą
W ducha tryumf, muszą stłumić
230 Tryumfalną pieśń materji!

- Stało się. Sam opat kroczył
Korytarzem, do drzwi pukał:
„Wstajcie, śpiochy! Bóg was woła,
Wstajcie, Jego bohaterzy,
235 Przeciw szatanowi wstajcie,
Który orgie dziś wyprawia!
Raz dwa wstajcie! Wszyscy wstajcie!“

Zapłonęły okna chramu,
Brzmia organy, płyną psalmy, —

240 Przerażony zoczył Prokop
Próżne miejsca pośród ławek,
Liczył. — wiedział, gdzie kto siedział, —
I sposepniał w głębi duszy.

„Poczekamy!“ rzekł do siebie,
245 „Wszak nad ranem muszą wrócić.“
Podczas śpiewów wyszedł z chramu,
Zaparł silnie główną furkę,
Przymknął drzwiczki od ogrodu,
Tak że każdy do klasztoru

250 Musiał wchodzić przez sam kościół,
Który bramą otworzoną
Ciskał blaski setek światła
W gęste cienie czarnej nocy.
Za powrotem obszedł klasztor

255 I korytarz cały przeszedł.
Widział próżne łoża braci;
Do kościoła wszedł. Gdy pierwszy
Dzionka świt mgłą zdołał przebić,
Prokop ujrzał wielkie dziwo:

260 Na swem miejscu był Benedykt,
Na swem miejscu był brat Jimram,
Pogrążeni w śpiewie psalmów.
Poznał prawdę: nim powrócił,
Przyszli przez kościelną bramę.

265 Spojrzał wkoło orlim wzrokiem,
Znalazł wszystkich — oprócz Jana.

Noc już zwolna czarnem skrzydłem
Posuwała się do kresu, —
Okna chramu wciąż płonęły,

270 Psalmy pod sklepieniem brzmiały
Jako protest świętej wiary,
Jako protest siły ducha
Przeciw czarnym mocom tajnym,
Na złość piekła i materyi.

275 Weszło słońce. Między braci
Wstąpił Prokop z twarzą smutną
Kiwnął zaraz na Jimrama,
Kiwnął też na Benedykta.
By z ław wyszli i ukłękli

280 Na posadzce przed ołtarzem.
Milczkiem, z pochyloną głową,
Kłękli. Prokop zaś zdjął zwolna
Tęgi sznur ze swoich bioder,
Splótł go w węzły świętym krzyżem,

285 Ciężki bicz pobłogosławił
I rzekł wreszcie głosem gromu,
Choć współczucie w nim zadrgało:
„Gdzieście byli wy tej nocy?
Gdzieście byli? Gdzie brat Jan jest?”

290 Milczą, tylko jeszcze niżej
Pochylili głowy obaj,
A brat Jimram po bicz sięgnął,
Wziął go z dłoni opatowi,
Pocałował sznur i rzecze,

295 Bijąc się w swe grzeszne piersi:
„Moja wina, moja, moja,
Tak — największa moja wina!“
„Zmiłuj się, wszechmocny Panie!“
Chór wtóruje mu błagalnie;

300 On dał znak Benedyktowi
I wnet z celi w słowa żalu,
Pienia psalmów, płacz i łkania,
Wmieszał się świst ciosów bicza.

Potem bracia się rozbiegli
305 W las, szukając brata Jana;
To hukali w skały, grotty,
To w pni dziupły zagłądali,
To bładzili w młodym gaju,
Aż na mchu go odnaleźli;

- 310 U stóp stromej ściany skalnej
Nieruchomy leżał we krwi,
Poszarpany i pobity.
Jeszcze dyszał. Więc na noszach,
Utworzonych w lot z gałęzi,
315 Do klasztoru go przynieśli
Mrącym; Prokop wyszedł ku nim
Z twarzą smutną, ze łzą w oku.
Zatrzymano zaraz nosze,
Wszyscy klękli, Prokop schylił
320 Ucho swe do ust biedaka,
By wysłuchać jego spowiedź.
Rozgrzeszywszy go, przeżegnał
I nieść kazał go przed ołtarz,
Innym klęknąć i wznieść modły
325 Za nieszczęsną jego duszą.

- Co zobaczył brat Jan w lesie,
Co tam słyszał, co tam robił,
Czy kwitnącą złotem paproć
Widział na omszonej skale
330 I niebaczny, chcąc ją zerwać,
Stoczył się na dno przepaści,
Czyteż spotkał gdzie czarownic
Nagich sforę na pomiotłach,
Albo ujrzał — broń nas grzesznych
335 Święty Jerzy i Michale! —
Straszną postać Belzebuba,
O tem ani słowa nigdy
Nie rzekł braciom święty Prokop.
Nie rzekł nigdy i brat Jimram,
340 Nie rzekł nigdy i Benedykt,
Bo ci, zniewoleni przezeń
Pod przysięgą do milczenia,
W płaczu żyli od tej chwili
Li o chlebie i o wodzie

- 345 W samotności, nieustannie
Swe bicząc grzeszne ciała.

- Od tej pory co rok wieczór,
Który jest ostatnim kwietnia,
Płoną wszystkie okna chramu,
350 Pod strop płyną pienia psalmów
Jakby w odwet za szal burzy,
Którą wrą pagórki, zbocza,
Wśród płomieni setek ognisk
Tej majowej pierwszej nocy!



XV.

Cuda św. Prokopa.

- Wiernie chcę wam opowiedzieć
Wszelkie dziwy, wszelkie cuda,
Które czynił święty Prokop
Ku zdziwieniu wszystkich ludzi,
5 Calej, wielkiej ziemi czeskiej,
W swym klasztorze na Sazawie
Wszystko rzec dokładnie pragnę,
Bez upiększeń opowiedzieć;
Piękny czyn już sam się stroi
10 W pięknych słów ozdobną szatę.
Wnet Prokopa cudotwórcy
Sława wkoło się rozeszła,
Hen po kraju się rozeszła.
Bo czyż zdola skryć się miasto,
15 Jeśli na wierzchołku leży?
Czyż pod korcem ogień płonie?
- Pewien człowiek, zwany Mena,
O Prokopie słyszał wiele,
Więc też w sercu swem zapragnął
20 Ujrzeć go i z nim żyć spolem.
Rozdał mienie swe ubogim,
Z grzechów wszystkich się oczyścił
I z postanowieniem silnem
Ruszył w drogę na Sazawę.
25 Szedł piechotą całą drogę

- Po kamieniach, cierniach, skałach.
Wczesnym rankiem już się znalazł
Nad wezbranej rzeki brzegiem,
Poza którą widział wieże
30 Sazawskiego monasteru.
Rzeka, już potężna wiosną,
Brudne fale swe toczyła
Jakby góry; małe łódki,
Po przeciwnym brzegu liną
35 Przywiązane do palików,
W wirze fal tańczyły lekko,
Jak łupiny orzechowe.
Ani śladu nigdzie ludzi.
Ranek był, przez mgieł gęstwinę
40 Słabo słońce przezieśniało.
A z przeciwna w fal i wiatru
Rozszalała burzy wrzawę
Wpadał chorał hen z kościoła,
Gdzie chór cały na godzinkach
45 Trawił czas w pobożnych modłach.
Mena chwilę rozpaczając
Stał na pustym brzegu rzeki,
Stał na progu swoich życzeń,
Ale nie mógł go przekroczyć;
50 Boleść gardło mu ścisnęła,
Padł na piasek, rozkrzyżował
Ręce i zawołał głośno:
„Dla Prokopa wielkich zasług
Sam dziś, Boże, na brzeg drugi
55 Racz grzesznika przewieźć cudem!”
Dziw nad dziwy! Właśnie w chramie
Dokończono już psalterza
Bracia z chóru wychodzili,
Między nimi święty Prokop.
60 „Spójrzcie, bracia, czółno małe
Samo się przemyka rzeką,
Fale wkoło jakby góry,

- Ono zdąży na brzeg drugi!⁴
Mnisi spojrzą w stronę brzegu.
65 Przysłaniając oczy ręką;
Właśnie bowiem ranne słońce
Mgieł zasłonę wskróś przebiło.
„Spojrzenie, łódź już wraca znowu,
A w niej człowiek stoi silnie,
70 Stoi w łodzi mimo wiatru,
Nie — zaiste cud to boży!“
A wtem Mena na brzeg skoczył
I, do nóg Prokopa padłszy,
Objął je, z radości płakał,
75 Opowiedział, co się stało.
Ośłupieli bracia wszyscy,
Sami Menę przygarnęli,
Prokop zaś w zadumę popadł.
Potem ozwał się do braci:
80 „Znowu dziś się tu sprawdziło,
Co o wierze mówił Chrystus:
Góry morze ten przenosić,
Kto ma wiarę“, — a na Menę
Swoją łagodny wzrok zwracając:
85 „Ale uszczęśliwiać może
Serca ludzkie — kto ma miłość.
Chwała Chrystusowi Panu!“
„Po wiek wieków!“ rzekli mnisi.

- Raz znów z wielkiem sił napięciem
90 Czterej ludzie związanego
Przyprowadzą na Sazawę
Człeka, co go bies opętał.
Modlił się więc Prokop nad nim,
W nocy nie spał, długo pościł,
95 W piersi wciąż się bił kamieniem;
A gdy w sposób ten swe ciało
Już ukarał za grzech cudzy,
Utkwił groźne swe spojrzenie

- W opętanym, który wił się
100 W kurczach z pięściami zaciętymi,
A ten wraz, jak gromem rażon,
Zwalił się na ziemię kłoda:
Piana z ust mu się polała,
Jak ogierom, zbyt spoconym.
105 Ucichł i po krótkim czasie
Wrócił zdrów do swej rodziny.

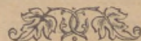
- Tak przejrzało wielu ślepych,
Głuchych wielu słuch zyskało,
Chromy kule swe odrzucił,
110 Skoczył, jak bujary jeleń;
Z blizka, zdala każdy chory
Śpieszył zaraz na Sazawę,
Wszyscy tu doznali ulgi.
Takich cudów święty Prokop
115 Wiele czynił w imię Pańskie;
Jeszcze jeden wam opowiem.

- Szlachcic pewien z czeskiej ziemi,
Hardy, złośnik i uparty,
Na drewnianym zamku chował
120 Żonę piękną — istny księżyc.
Prześladował ją zazdrością,
A gdy miała już porodzić,
Zamurować ją rozkazał;
Lecz gdy padł ostatni kamień
125 Na grób żywej męczennicy,
Szlachcic sam w chorobę popadł,
Niesłychaną i niezwykłą,
Którą nazywają trądem.
Zaraz poznał swoją winę,
130 Kazał żonę znów odkopać.
Padłszy przed nią na kolana,
Prosił jej o odpuszczenie;
Ona, głosem mdłym i cichym

- Wymieniwszy mu Sazawę
135 I osobę Prokopową,
Wkrótce świat ten pożegnała
- Szlachcic zamek swój opuścił,
W runo owcze się przyodział,
Aby zakryć jako tako
- 140 Ciała swego białe wrzody,
I tak boso poszedł w lasy,
By odszukać prostą drogę
Na Sazawę. Gdy tam przybył,
Do nóg upadł Prokopowi.
- 145 Odkoczyli wszyscy mnisi,
Znakiem krzyża się żegnając;
Bo też straszny był to widok
Człeka, co przed nimi klęczał,
Wyciągając ku nim ręce,
- 150 Pełne ran i pełne ropy.
A gdy Prokop sam go podniósł
Szlachcic znowu padł na ziemię,
W ziemię wrył swe blade lica
I spowiadać mu się zaczął
- 155 Wobec wszystkich z grzechu swego.
Prokop w głos przed całym ludem
Kazał wstać mu, gdy zaś mnisi
Zbliżyć się doń obawiali,
- 160 Sam go zawiódł do swej celi,
Sam z nim żył, sam wykonywał
Przepisaną mu pokutę.
Raz gdy w nocy na modlitwie
Trawił czas zwyczajem swoim
- 165 Spostrzegł, jak ów trędowaty
Podniósł się ze swego łoża
Cichym krokiem przeszedł celę.
Zdjął Prokopa szatę z kołka,
Nią otulił się co prędzej,
- 179 Poczem z głośnym płaczem upadł

- Na kolana przed swem łożem.
Przerwał Prokop swe modlitwy:
„Co tu robisz, bracie miły?
Czemuś przywdział moje szaty?”
- 175 Z płaczem szlachcic odpowiedział:
„Ojcze, wszak już drugi miesiąc
W celi twej się modlim, pościm,
Ale wszystko — nadaremnie;
Ręka Boża wciąż zamknięta,
- 180 Pański gniew nad moją głową.
Więc sądziłem, że gdy w nocy
Przyoblekę się w twój habit,
Snać zagoją się me rany
Mocą cudu, którą zwykle
- 185 Dookoła siebie szerzysz.
Chciałem winą zyskać łaskę,
Przebacz mi to przewinienie!”

- Święty Prokop, do łez wzruszon,
Duszą swą utonął w myślach,
- 190 Wreszcie ozwał się poważnie:
„Za trzy dni ja, bracie, umrę,
Potem oblecz moje szaty,
A uzdrowion wstaniesz z łoża!
Więc cierpliwie trzy dni jeszcze
- 195 Znoś swą karę! Gdy ma dusza
Oczyszczona z kału ziemi,
Wzleci w niebo złotem skrzydłem,
Habit mój uzdrowi ciebie:
Dzisiaj jeszcze grzesznik wielki,
- 200 Tak jak ty i wszyscy ludzie.“
Potem podniósł swego druha,
Pocałował w twarz, uściśnął
I znów ukląkł, by proroczą
Duszą swą utonąć w myślach



XVI.

Śmierć św. Prokopa.

- Jak to Prokop przepowiedział,
Stało się; sił coraz więcej
Ubywało jego ciała.
Zwołał tedy wszystkich mnichów,
5 Którzy z twarzą zasmuconą
Przeczuwali, co nastąpi.
Nawet jeszcze nie przemówił,
A już jęki żałośliwe
Popłynęły jego całą;
10 Nawet jeszcze nie przemówił,
A już łzy się potoczyły
Pełnym prądem z oczu braci;
Nawet jeszcze nie przemówił,
A już brat dłoń ścisnął bratu,
15 A już druh pocieszał druha,
A z ust wszystkich mogłeś czytać:
„Co się teraz z nami stanie?“
Wreszcie brata Wita usty
Przemówili, dłoń całując
20 Schorzałego, jego szaty:
„Nie czynźcie nas sierotami,
Nie opuszczaj, ojczyste, dzieci!“
Prokop podniósł się na łożu,
Boska aureola złota
25 Uwieńczyła głowę jego,
I rzekł jeszcze silnym głosem:
„Bracia moi, com tak często

- Wam zalecał, to powtarzam:
Wiele zdoła siła ducha,
30 Wiele wiara i nadzieja,
Ale wszystko tylko miłość;
Toteż wszyscy się miłujcie!
Nie śmiem, bracia, taić tego,
Że po śmierci mojej rychło
35 Wieczna kłątwa czeskiej ziemi,
Podły pociąg do obczyzny,
Wygna was z tych oto celek,
Że z tej ziemi, waszym potem
Zurodnionej i skropionej,
40 Obcy będzie ciągnął zyski,
Że w gniazdeczku tem jaskółczem
Usadowi się rój sępów.
Nie śmiem nic przed wami taić,
Chcę, żebyście byli silni,
45 Silni ziemi swej miłością,
Która potrzebuje zawsze
Każdej ręki pracowitej,
Każdej głowy, gdy myśląca!
Silni też miłością wspólną,
50 Bo przy tej się wszystko wie dzie;
Silni pracą wśród utrapień,
W uległości i pokorze
Wobec wszechmocnego Boga!“

- Placz i łkania przeszkodziły
55 W dalszej mowie Prokopowi,
Tak, że aż po długiej przerwie
Zdołał podjąć rzecz na nowo:
„Bądźcie silni! Długi szereg
Mnógich lat was nauczałem
60 Świętej pracy, — prowadziłem,
Toż możecie znieść po mężku
Trochę biedy, przeciwności,
Na wygnaniu sześćioletni

- Zagranicą nawet pobyt.
65 Gdy Spitygniew książę zginie,
Znów Wratysław was powoła*),
Bóg wam hojnie wynagrodzi,
Coście zań musieli cierpieć.
Lecz o jedno teraz proszę,
70 O to błagam was usilnie.
Jutro umrę przed świtaniem;
Noc ostatnią chcę przepędzić
W lesie w ulubionej grotcie,
Gdzie tak wiele lat przeżyłem,
75 Zanim Pan Bóg mię powołał
Do wielkiego dzieła swego.
Rychło się wybierzmy w puszcze,
A po drodze możem nucić
Starodawny ojców chorał.
80 W drogę, bracia! Wprawdzie ciężka
Jest rozłąka, lecz w niej życie.“

- I jakgdyby nie czuł nawet
W ciele swem choroby grotu,
Silnym powstał jak zwyczajnie.
85 Zapadł mrok, gdy z wrót klasztornych
Długi orszak się wychylił,
Nucąc głośno hymn prastary:
„Hospodine, pomiluj ny!“
Ze wzruszenia drżał głos wszystkim,
90 Wszystkim w oczach łzy stawały.
Zwolna szli, po drodze Prokop
Dookoła się rozglądał;

*) Spitygniew II (1055—61), syn Brzetysława, następcy Oldrzycha na tronie czeskim, wypędził mnichów czeskich z klasztoru sazańskiego i wprowadził na ich miejsce niemieckich z Brzewnowa; dopiero Wratysław II. (1061—92), brat i następca Spitygniewa, sprowadził mnichów, którzy schronili się byli do Węgier, napowrót.

- Znał tu każdą dani i miedzę,
Každy pień i każdą ścieżkę.
95 Rozglądając się tak mówił:
„Patrzcie! i przyroda idzie
Spać, jak ja, — oboje wstanem;
Niema bowiem śmierci wiecznej“
Zwolna szli, gdy nagle brzęczeć
100 Coś poczęło nad ich głową;
Obejrzeni się, — dokoła
Roje złotych pszczoł latały
Ponad głową Prokopową,
By mu odtąd towarzyszyć
105 Do jaskini, która niegdyś
Była pierwszą ich ojczyzną.
Weszli w las — z gałęzi każdej
Do nóg padał im deszcz liści,
Aby Prokop nie obraził
110 Sobie nogi o kamienie;
A co kwiat — to nowe wonie.
Szli, a wtem już otwór grotu
Zdała witał ich znajomy;
Krzak zatrzeszczał przed Prokopem,
115 Łania wyszła, zabczała
I poczęła dłoń mu lizać.
Weszli w grotę, w wodospadach
Bluszczu lśniła się po brzegi;
Odnaleźli stare łoże,
120 Pełne mchu; tymczasem pszczoły
Do przedsionka się wróciły
W starą dziuplę ponad wejściem.
Prokop rzekł: „Was proszę, bracia,
Teraz wyjdźcie z tej jaskini!
125 Sam chcę całą noc przepędzić
Tu, jak dawniej, na rozmowie
Z Panem Bogiem i swą duszą“.
Przytem podał dłoń każdemu,
Którą deszczem łez zrosili

130 Wszyscy mnisi. — Już odeszli.

Sam więc w grocie leżał Prokop,
Sam, dokoła ciemność, cisza.
Trwoga gardło mu ścisnęła,
Z nią pragnienie się złączyło,
135 Pot wystąpił na skroń zimną,
Piersi ciężko oddychały;
Dusza, życiem utrudzona,
Wpadła w koło mar dziwaczych
Strach ją zdjął. Bezładnie wszystko
140 Wirowało mu po głowie:
Tłumy dyabłów — stare bogi,
Walka z żubrem — łania, pszczoły,
Niemcy mnisi, las i klasztor.
Słyszał dziwne, obce pieśni,
145 Alleluje i Hosanne;
Gromów wir, głos trąb donośny,
Zgiełk myśliwych, łowy, pogoń,
Dzika jazda napowietrzna,
Gwiazdy wielkie, niby słońca,
150 W piersiach jego wirowały.
I ów starzec gigantyczny.
Co go ujrzał niegdyś w lesie,
Gdy obalał pierwsze drzewa,
Zjawił mu się w całej grozie,
155 Wziął go w swe ramiona silne,
Zgniatał kości jego swemi —
A w tym gwarze dzikich głosów
Dominuje wciąż hymn duchów
Coraz głośniejszy, jako burza,
160 Im wtórują — trawa dolin,
Dęby zrębów, gwiazd przestworza,
Niebios krąg i nieskończoność:
Alleluja! Alleluja!

.
.

.
Rano z trwogą cicho weszli
165 Do jaskini wszyscy mnisi;
Prokop leżał na swem łożu
Nieruchomy, z twarzy bił mu
Spokój i łagodny uśmiech.
A przez otwór, którym niegdyś
170 Dyabłów tłum z jaskini zmykał,
Zglądało złote światło,
Zrumienione lekko zorzą,
I oblało twarz Prokopa
Dziwnym blaskiem. Cisza w koło:
175 Tylko tuż przy łożu samem
W gęstym mchu króliki leśne
Bawią się, jak zwykły zawsze.



XVII.

Ucieczka.

- Deszcz z wichurą ślub dziś biorą,
 Grom im k'temu bębemnicą,
 Błyskawice pochodniami.
 Toż to leje z chmur gęstwiny,
 5 Toż to gwizdże w gwarnym borze,
 Huczy, piszczy, stęka, wrzeszczy
 Puszcza, lasem, jęczy w skałach,
 A w tym tańcu kropie deszczu
 Podskakują dzikim cwałem!
 10 Co za wir to, co za wrzawa!

- Cóżto leci nad borami,
 Nito długie, szare cienie?
 Co się miga nad przepaściami,
 Jak postacie tajemnicze?
 15 Co po ciosów nagich czaszkach
 Toczy się w nieładzie płochym?
 Czy to chmury różnokształtne,
 Które w burzy bicz piorunu
 Gna z dna morza wkoło świata?
 20 Chmurać zdala, ale zblizka
 Z chmur tych ręce wyzierają,
 Czarne nogi, sępie skrzydła.
 Boże! wszak to dyabłów sfora!
 Dokąd lecą w takiej nocy?

- 25 Lecą dalej, lecą ciągle
 Nad wądoly, nad borami,
 Piorun przodem, grom za nimi,
 Cień olbrzymi je prowadzi;
 Włosy jego w ciemnej nocy
 30 Jako chmura się rozwiały,
 Oczy jego w ciemnej nocy
 Świecą wciąż błyskawic blaskiem,
 Usta jego w ciemnej nocy
 Gwarzą grzmotem i wichurą.
 35 Przystanęli. Dołem w lesie
 Gmach sazański strzela w niebo,
 Okna chramu oświetlone;
 Na godzinkach siedzą mnisi,
 Odgłos śpiewu ich zamiera
 40 Wśród wichury — lecz niestety
 Śpiew ten nie brzmi w mowie ojców.
 W las wpadł — zajęczały zaraz
 Stare drzewa, załamały
 Swe gałęzie, narzekając:
 45 „Cóż, Prokopie, po twojej pracy,
 Cóż po trudach, sługo boży?
 Przyszli Niemcy, cudzoziemcy,
 Wypędzili twe jaskółki,
 Ciepłe gniazda ich zajęli;
 50 My zaś teraz smutnem echem
 Powtarzamy w pustych skałach
 Obcych śpiewów obcy odgłos.
 Cóż, Prokopie, po twojej pracy?
 Diabłyś wygnał, wypędź Niemców!“
 55 Tak pod wiatrów ostrym biczem
 Jęczał las, płakała skała.
 Wtem z obłoków na dół spłynął
 Cień ów i tak krzyknął w chmury:
 „Roto dyabłów, w imię Boga

- 60 Jedynego, wszechwładnego,
Ja cię, Prokop wywołałem
Z głębi twej, za zgodą Pana,
Byś we wszystkim mnie słuchała.
Obsadź okna, obsadź bramy!
65 Ja wypędzę mnichów z chramu,
Ty ich wypędź z czeskiej ziemi!“

I wnet stanął wielkim straszny,
U klasztornej bramy stanął
Dyabły klasztor obsadziły,
70 Chmurą oczy ich płonęły;
Z gromów wykręcały biecze,
Ciesząc się z gonitwy przyszej,
Zaszczekały i zawyły

- Prokop laską swą uderzył
75 O zaporę wrót klasztornych,
Roztworzyły się na oścież;
Stał w kościeła swego progu,
Aż do stropu sięgał głową
Wnet ustali w śpiewie swoim
80 Mnisi, przerażeni szepcą
Między sobą w obcej mowie:
„Znów ta mara! co za upiór!“

- „Ani marą, ni upiorem,
Jestem Prokop, sługa boży.
85 Pierwszy opat monasteru;
Wyście stąd wygnali w gniewie
Moje syny, moich braci!
Jam opiekun ziemi czeskiej,
Której język wyrwać chcecie
90 Narodowi, by go zniemczyć.
Wstałem z grobu z woli Bożej,
Nie chcąc patrzeć dłużej na to,
Co ty, zgrajo, dokazujesz

- Tu, na miejscu świętych czynów,
95 Tu, na miejscu wielkiej pracy,
Cudów, dla was niepojętych.
Już dwa razym was ostrzegał —
Zawsze jednak do czas pełnych
Wracał zaraz cały konwent,
100 Więc dziś milczę. A wy precz stąd,
Precz od Pragi, precz z tej ziemi!“

- W nieskończoność rósć się zdawał,
Laską bił ich, błyskawicą,
Po kościele biegał marą.
105 A gdy złamał swoją laskę
O szerokie plecy mnichów.
Zerwał z bioder, jako niegdyś,
Sznur swój i posplatał w węzły,
Śpiewał głośno niby burza
110 Bił i smagał w świętym gniewie.
Wnet się z miejsc zerwali mnisi,
Swe brewiarze i psalterze
Odrzucili precz w nieładzie:
Na wyścigi ku drzwiom pędząc,
115 W jedną masę tam się zbili,
Każdy chciał wyjść pierwszy z chramu.
W tym natłoku Prokop znowu
Bił ich z tyłu, że skakali
Wszyscy, jak niesforne kozły.
120 Lecz na dworze — biada, biada!
Chmura spadła na nich z nieba
Z chmury szpony, nogi, skrzydła,
Ogień biczów, śmiech i wycia;
I już pędzą, gonią, wałą
125 Przez pagórki i doliny,
Przez skał ciosy i przepaści,
Bez ustanku, coraz dalej.
W dwu kierunkach się rozbiegli
W Karkonosze i w Szumawę,

- 130 Dwoma prądy Niemców pędzą
Z czeskiej ziemi. Dzika jazda!
Błyskawice przyświecają,
Bór hen w dole stęka, jęczy,
Jako pręt się uginają
- 135 Stuwiekowe, stare dęby,
Z skał się toczą wód strumienie
Jakby ciemnych chmur tumany,
Mnichy, dyabły — trudno było
Ich rozeznąć — lecąc w wirze
- 140 Poznikały w mroku nocy..

Ty, Prokopie, wiesz to lepiej,
Niż poeta, co wzruszony

Pióra zdzierzyć już nie zdołen,
Że powinienbyś znów powstać,

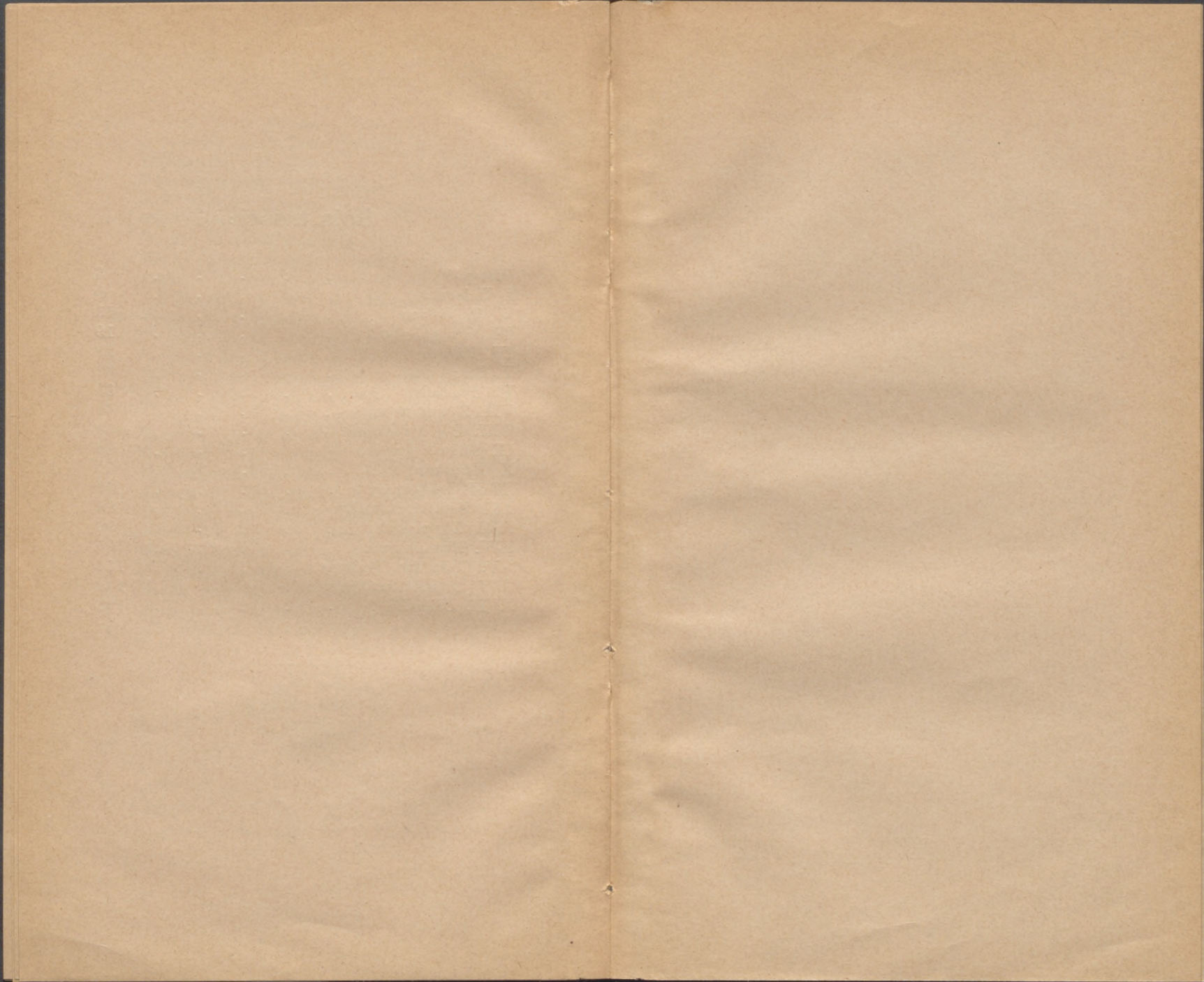
- 145 Znów wyczyścić czeskie kraje,
Oswobodzić je, wykupić!
Czyś zapomniał o nas, ojcze,
Czyteż wstydzisz się swych wnuków?
Pomyśl o nas, nie daj zginąć
- 150 Wszystkim nam i przyszłym Czechom,
Póki będą pamiętali
O spuściźnie wielkich ojców!
Stójże przy nas a twą pamięć
Błogosławić będziem wdzięczni
- 155 Po najdalsze przyszłe wieki!

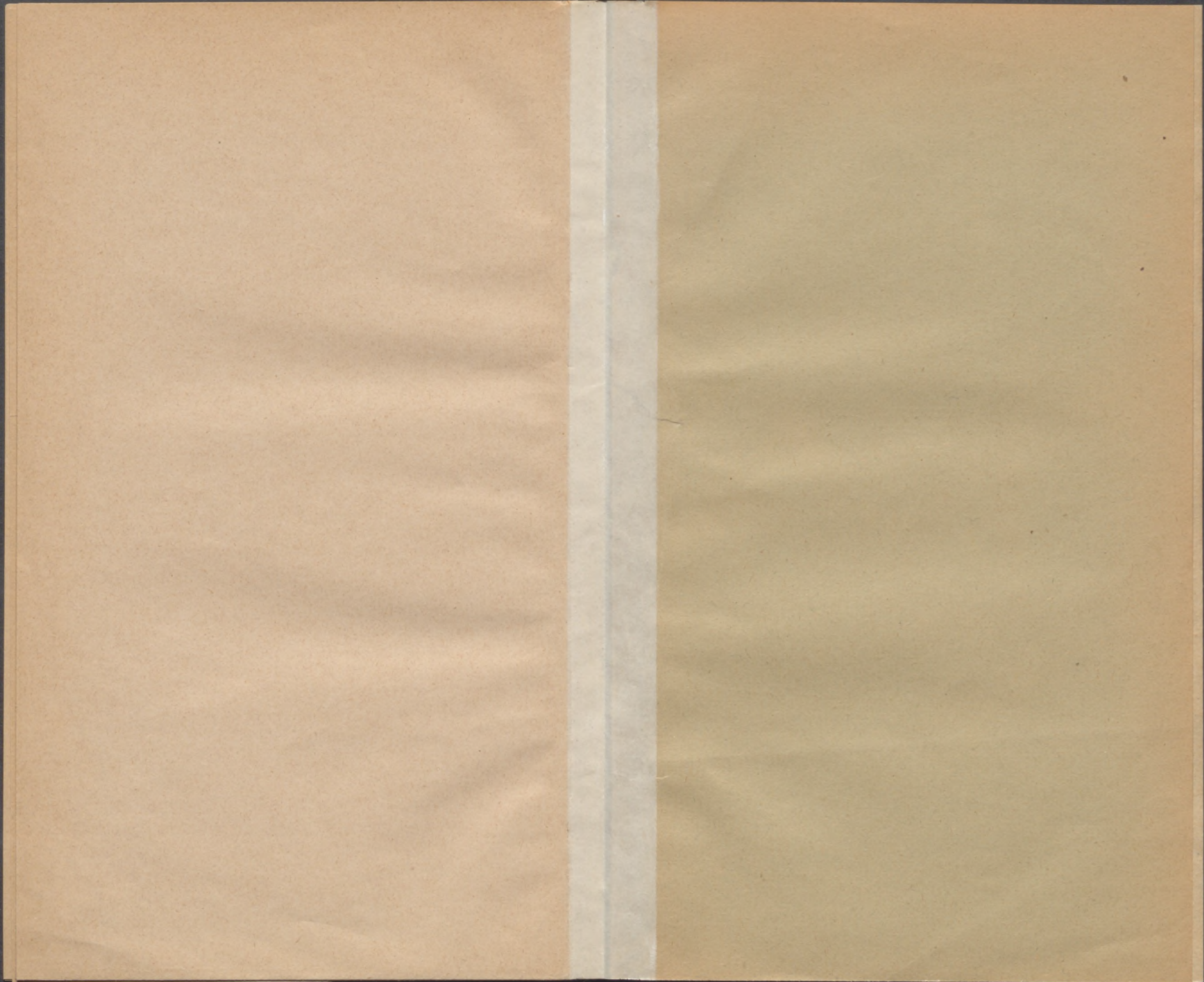


Spis treści:

Wstęp	3
I. Ucieczka	9
II. W jaskini	13
III. Ora et labora	19
IV. Rarach	25
V. Stare bogi	32
VI. Pszczoły	39
VII. Żywot w zimie	44
VIII. Bój z żubrem	52
IX. Dziwni goście	62
X. Klasztor	70
XI. Podział pracy	79
XII. Zapiski Raracha	86
XIII. Złoty ptak	96
XIV. Noc majowa	105
XV. Cuda św. Prokopa	116
XVI. Śmierć św. Prokopa	122
XVII. Ucieczka	128







366340

15
23. VIII. 65
044285



